

Gazeta Sremska

7-8/2017
ISSN 1231-7478
dwumiesięcznik
lipiec/sierpień
rok XXVII
cena 5 zł





Fundusze Europejskie
Program Regionalny



SAMORZĄD WOJEWÓDZTWA
WIELKOPOLSKIEGO



Unia Europejska
Europejski Fundusz
Rozwoju Regionalnego





Klasztor – zapomniany zakątek

Klasztor – z czym kojarzy się mieszkańcom Śremu ta nazwa? Poznajmy historię tego miejsca.

str. 14



Warto pomyśleć

Wolność. Bezpieczeństwo. Tolerancja. Odpowiedzialność.
Warto pomyśleć.

str. 18



CYRYL w sieci, czyli wirtualny spacer

Tysiące świetnych fotografii, setki planów dawnego Poznania, unikatowe pocztówki, plakaty, programy teatralne, dokumentacje wykopalisk, wystaw i spektakli... – wirtualne muzeum historii Poznania CYRYL.

str. 21

Spis treści

- str. 03 444 słowa redaktora naczelnego
str. 04 Wieści z ratusza
str. 08 Warto przypomnieć: Odcięty od swoich
str. 10 Jędrzej Daleki – pradziadek mojej Babcini, żołnierz wojen napoleońskich. Część IX
str. 14 Klasztor – zapomniany zakątek
str. 18 Jestem, więc pytam: Warto pomyśleć
str. 21 CYRYL w sieci, czyli wirtualny spacer
str. 23 Ludzie, których spotkałem: Hieronim Rumianowski
str. 25 Wspomnienia z podwórza
str. 28 Śremskie fyrtele: My z tej samej ulicy
str. 32 Nie samym chlebem: Literaturze na zdrowie
str. 36 Kino niewidzialne: *Ukryte pragnienia*
str. 38 Nasz Talent: Paweł Wolniewicz
str. 40 Kwestionariusz kultury: Leszek Mańkowski
str. 42 Z górej półki: *W skorupce orzecha*
str. 44 Okiem belfra: Recepta na człowieka
str. 45 Jak to jest z tą miłością?
str. 48 Mistrz i jego muza. Jacek Malczewski i Maria Bałowa
str. 50 Kierunek plener
str. 52 Commensurability, czyli o dialogu
str. 54 Bo kulturalnym dobrze być nawet w nocy!
str. 56 Muzeum – wydarzenia
str. 57 ŚOK – wydarzenia
str. 58 Biblioteka – Klub Łowców Przygód



444 słowa redaktora naczelnego

Od blisko roku jestem wyrozumiałym przewodnikiem czarnego cocker spaniela płci męskiej rezydującego w moim domu. Pies jest bez wątpienia nieprzeciętnej urody, o walorach charakteru i umysłu nie wspominając. Bez obaw, nie będzie potoku słów zwariowanego „pancia” o osobistych przymiotach ukochanego czworonoga przesłaniającego świat. Skoro pies średnich rozmiarów, to i świat udaje się dostrzegać i wnioski czasem jakiegoś wysnuć. Opiszę obserwacje i zacznę wysnuwać.

Przebywanie ze zwierzęciem pod jednym dachem sprzyja obserwacjom zachowań zarówno psa jak i człowieka. Zdolność podpatrywania wzmacnia stosowna lektura, wiadomo na co patrzeć i co widzieć. Pies jest zawsze bardzo racjonalny, robi to, co prowadzi do osiągnięcia tego, czego chce. Obserwuje każdy nasz gest, który odczytuje jednoznacznie. Daje nam sygnały o ściśle określonym znaczeniu. Lubi ciszę, bo zalew słów i jazgot go dekoncentrują. Człowiek racjonalny tylko bywa. Jako przedstawiciel naczelnych wykonuje mnóstwo zbędnych gestów, których zwykle nie kontroluje. Wysyła sprzeczne komunikaty nawet w obrębie własnego gatunku. Usta mu się nie zamykają, forma i treść wypowiedzi rozchodzą się jak za ciasna koszula na brzuchu prawdziwego faceta. Wniosek pierwszy: różnimy się nie tylko sposobem chodzenia.

Nasz psi domownik wyrusza w nowy dzień z regularnością przedwojennego pociągu o 5²⁶, codziennie, w niedziele i święta też. Zatrzymuje się przed odpowiednimi drzwiami i czeka na pozwolenie wyjścia w zewnętrzny świat zapachów. Spacer, najlepiej tą samą trasą. Przenikliwe spojrzenie przez bramę prowadzącą do ogrodu zaprzyjaźnionego owczarka z sąsiedztwa. Nie ma go. Za

wcześniej. Co jecie, co jecie – porzucone puste koci miski inspirują zapewne takie pytania w głowie czarnego cockerka. Narożnik – zapachowa poczta, psi punkt kontaktowy, totalna wymiana informacji, zwierzęca sieć informatyczna. Rytualna analiza zapachów trwa długo. Powrót do domu, śniadanie, zawsze to samo, w tej samej ilości, bezwarunkowy pik wagi kuchennej i stuknięcie palcem o brzeg miski. Zjeść i można spokojnie odpocząć. Psi rytuał. Ludzki także, chociaż dopiero obecność psa go podkreśla, uwypukla. Opiekun psa, matka dziecka, pracownik korporacji, nauczyciel w szkolnym systemie edukacji budzą się, wstają, myją zęby, poprawiają krawaty itp. Codziennie niezmiennie, no może z wyjątkiem niedziel i świąt. Przypomnijcie sobie Adasia Miauczyńskiego i jego zmagania w *Dniu świra* Marka Koterskiego. Wniosek drugi: wspólnie cenimy nudę i bezpieczeństwo.

Rytuał, jeśli pospolicie, to po prostu nawyk. Pies chodząc na dziesięciometrowej linie, bez linki nie oddala się na większą odległość. Człowiek przez lata poprawiając okulary na nosie, poprawia je również, gdy ich nie założy. Człowiek ma jednak możliwość wyrwać się ze schematu codzienności, wejść do świata kultury. W maju byłem na koncercie Macieja Maleńczuka. Atrakcyjna przebieżka sceniczna przez niekonwencjonalny żywot buntownika. A nawyki? – oczywiście, rodzinny schemat? – jasne, że tak.

Pies ma cztery nogi, człowiek tylko dwie, ale dwa razy większą szansę, aby nie wstać lewą nogą zachowując poczucie bezpieczeństwa, a jednak umknąć schematowi.

Mariusz KONDZIELA

ŚREM



Wieści z ratusza

TROJACZKI W ŚREMIE

6 czerwca Burmistrz Śremu Adam Lewandowski gościł u trojaczków – trzymiesięcznych mieszkańców Śremu. Bracia Staś, Krzyś i Jerzyk urodzili się 26 marca 2017 r. Z tej wyjątkowej okazji Burmistrz Śremu złożył życzenia rodzicom i przekazał chłopcom pajacyki, które otrzymują noworodki w gminie Śrem. Firma BRITAX z Psarskiego przekazała dwa wózki dla dzieci: dwuosobowy oraz pojedynczy.

BURMISTRZ ŚREM UHONOROWAŁ MAŁŻEŃSTWA MEDALAMI ZA DŁUGOLETNIĘ POŻYCIE MAŁŻEŃSKIE

1 czerwca br. marszem Mendelssohna w Katolickim Centrum Edukacji i Kultury w Śremie rozpoczęła się uroczystość, podczas której Burmistrz Śremu Adam Lewandowski uhonorował małżeństwa z terenu gminy Śrem, które przeżyły co najmniej 50 lat w jednym związku małżeńskim. Burmistrz Śremu pogratulował Jubilatom, podkreślając ważną rolę rodziny oraz życzył zdrowia i kolejnych szczęśliwych rocznic. Jubilaci zostali uhonorowani medalami „Za Długoletnie Pożycie Małżeńskie” przyznanymi przez Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Andrzeja Dudę. Odznaczenia otrzymało 87 małżeństw z gminy Śrem.

SPOTKANIE Z JUBILATAMI OBCHODZĄCYMI 55., 60. I 65. ROCZNICĘ POŻYCIA MAŁŻEŃSKIEGO

Dnia 1 czerwca br. w Katolickim Centrum Edukacji i Kultury w Śremie z inicjatywy Burmistrza Śremu Adama Lewandowskiego odbyła się uroczystość jubileuszowa dla małżeństw, które w roku bieżącym obchodzą 55., 60. i 65. rocznicę pożycia małżeńskiego. W tym roku 41 małżeństw z terenu gminy Śrem świętuje jubileusz 55. rocz-

nicy ślubu, 19 małżeństw – 60. rocznicę pożycia małżeńskiego i 4 małżeństwa – 65. rocznicę ślubu. Burmistrz Śremu podziękował Jubilatom za wszystko, co zrobili dla Śremu oraz życzył kolejnych rocznic. Burmistrz Śremu wręczył Jubilatom listy gratulacyjne z wyrazami szacunku i uznania za przykład zgody i miłości małżeńskiej oraz nieustannej troski o dobro rodziny.

X FORUM GOSPODARCZE METROPOLII POZNAŃ

17 maja 2017 r. w Centrum Konferencyjnym Concordia Design w Poznaniu rozpoczęło się jubileuszowe X Forum Gospodarcze Metropolii Poznań. Impreza jest skierowana głównie do przedsiębiorców i władz samorządowych. Od lat ma formę regionalnego dialogu i należy do największych wydarzeń gospodarczych w regionie. Wiodącym tematem tegorocznego Forum była sytuacja na rynku pracy oraz rozwój i bariery przedsiębiorstw w sytuacji niedoboru pracowników.

X Forum Gospodarcze Metropolii Poznań otworzyli: Adam Lewandowski – Burmistrz Śremu, Wiceprezes Zarządu Stowarzyszenia Metropolia Poznań, Tomasz Łubiński – Wicestarosta Poznański oraz Wojciech Kruk – Prezydent Wielkopolskiej Izby Przemysłowo-Handlowej.

W pierwszej części prof. dr hab. Józef Orczyk rektor Wyższej Szkoły Bankowej w Poznaniu scharakteryzował rynek pracy Metropolii Poznań. Następnie odbył się panel dyskusyjny z udziałem Burmistrza Śremu Adama Lewandowskiego poświęcony zatrudnieniu pracowników ze wschodu. Rozmowa dotyczyła doświadczeń pracodawców ze współpracy z imigrantami ze wschodu, czy ko-



Podpisz zdjęcia

niecznych formalności związanych z zatrudnieniem pracowników z Ukrainy oraz kooperacji z ukraińskimi przedsiębiorstwami.

Kolejne części X Forum Gospodarczego Metropolii Poznań koncentrowały się na kwestiach pozyskiwania i zatrzymywania najlepszych pracowników, opiece socjalnej pracowników, systemów motywacji oraz wizerunku pracodawcy. Poruszono zagadnienia związane z oczekiwaniami przedsiębiorców, dostosowania kierunków kształcenia do potrzeb rynku pracy. Podczas forum rozmawiano także o efektywności wielkopolskich przedsiębiorstw na poziomie makro oraz wykorzystaniu nowych technologii i wpływie na zwiększenie produktywności. Forum zakończyła Platforma Wymiany Doświadczeń Menedżerskich, wizyty studyjne w firmach i praktyczne poznawanie procesów produkcyjnych.

STRAŻACY Z NIEŚLABINA OTRZYMALI SPRZĘT RATOWNICZY

8 czerwca br. na placu przed remizą Ochotniczej

Straży Pożarnej w Nieśląbinie odbyło się oficjalne przekazanie hydraulicznego zestawu ratowniczego. Zestaw ratowniczy na ręce komendanta przekazali Bartosz Żeleźny – Zastępca Burmistrza Śremu oraz Zenon Jahns – Starosta Śremski. Zestaw obejmuje: hydrauliczne nożyce, rozpieracze, stabilizacje, wsporniki, agregat hydrauliczny, pompa ręczna. Narzędzia znajdują się na wyposażeniu samochodu ratownictwa drogowego. Wsparcie jednostki OSP Nieśląbin odbyło się dzięki współpracy gminy Śrem oraz Starostwa Powiatowego w Śremie. Ochotnicy z Nieśląbina specjalizują się w akcjach ratownictwa technicznego na drogach. Wsparcie Ochotniczej Straży Pożarnej w Nieśląbinie jest potwierdzeniem dążeń włączenia jednostki do krajowego systemu ratowniczo-gaśniczego. Do osiągnięcia wymaganej zdolności bojowej jednostce brakuje drugiego pojazdu przeznaczonego do akcji gaśniczych.

OPASKI-NIEZGUBKI DLA DZIECI

Z okazji Dnia Dziecka gmina Śrem zleciła wykonanie opasek – niezgubek. Opaski w kształcie ze-



Podpiszdjęcia

garka na rękę, służą odnalezieniu opiekuna. Można tu napisać numer telefonu rodzica, co przyda się podczas zagubienia się np. na plaży. Na opaskach pojawiło się również logo Śremu. Składając dzieciom życzenia w dniu ich święta, Burmistrz Śremu Adam Lewandowski wręczył opaski przedszkolakom z Przedszkola Nr 2 Słoneczna Gromada.

SPARTAKIADA PRZEDSZKOLAKÓW

7 czerwca br. w Przedszkolu Nr 2 Słoneczna Gromada w Śremie odbyła się spartakiada przedszkolaków. W gminnej olimpiadzie sportowej wzięły udział dzieci z 16 placówek przedszkolnych z obszaru całej gminy.

Uroczystość rozpoczął taniec grupy czterolatków z Przedszkola Słoneczna Gromada. Wszyscy uczestnicy przemaszerowali wokół stadionu, po czym nastąpiło oficjalne rozpalenie znicza olimpijskiego przez zastępcę burmistrza Śremu Bartosza Żeleźnego. Każde przedszkole reprezentowane było przez 10 zawodników. Dzieci startowały w czterech konkurencjach sportowych. Spartakiadę zwyciężyły przedszko-

laki z Przedszkola Nr 2 Słoneczna Gromada. Organizatorem wydarzenia, na zlecenie gminy Śrem, był Śremski Sport Sp. z o.o. oraz nauczyciele z Przedszkola Nr 2.

UCZNIOWIE ŚREMSKICH SZKÓŁ MŁODYMI SURFERAMI

Gmina Śrem zleciła organizację dwóch edycji festynów sportowo-edukacyjnych MŁODY SURFER. Spotkania odbywają się na jeziorze Grzymisławskim, przy wyciągu do nart wodnych i wakeboardu. Uczestniczą w nich dzieci w wieku 8-11 lat ze szkół gminnych. Pierwsza edycja odbyła się 7 czerwca br., druga – planowana jest na 14 czerwca br. Podczas festynów dzieci zapoznają się z zasadami udzielania pierwszej pomocy i ratownictwem wodnym, trenują na TrickBoardzie oraz podziwiają pokazy wykwalifikowanych trenerów wakeboardu.

KOLEJNE WIELOFUNKCYJNE SZKOLNE BOISKA SPORTOWE

Gmina Śrem przystępuje do budowy czterech

PROGRAM

BOISKA SPORTOWE ŚREM 2016 - 2018

BOISKA SPORTOWE ŚREM 2016 - 2018 to program, który zakłada w ciągu 2 lat dynamiczny rozwój bazy sportowej na terenie Śremu.

2017 Nowe boiska w gminie Śrem

zrealizowano
22 września 2016



SZKOŁA PODSTAWOWA NR 4
IM. MARII KONOPNICKEJ W ŚREMIE
boisko wielofunkcyjne z nawierzchnią poliuretanową

w trakcie



ZESPÓŁ SZKOŁY PODSTAWOWEJ
I GIMNAZJUM W ŚREMIE
boisko wielofunkcyjne z nawierzchnią poliuretanową

w trakcie



SZKOŁA PODSTAWOWA NR 1
IM. MIKOŁAJA KOPERNIKA W ŚREMIE
boisko wielofunkcyjne z nawierzchnią poliuretanową

w trakcie



SZKOŁA PODSTAWOWA NR 6
IM. BRACI BARSKICH W ŚREMIE
boisko wielofunkcyjne z nawierzchnią poliuretanową

w trakcie



GIMNAZJUM NR 1
IM. POLSKICH NOBLISTÓW W ŚREMIE
bieżnia lekkoatletyczna tartanowa

w trakcie



GIMNAZJUM NR 1
IM. POLSKICH NOBLISTÓW W ŚREMIE
boisko wielofunkcyjne ze sztuczną trawą

2018



STADION MIEJSKI W PARKU MIEJSKIM
IM. POWSTAŃCÓW WIELKOPOLSKICH
modernizacja płyty boiska treningowego - sztuczna trawa



STADION MIEJSKI W PARKU MIEJSKIM
IM. POWSTAŃCÓW WIELKOPOLSKICH
bieżnia lekkoatletyczna tartanowa z oświetleniem

szkolnych boisk wielofunkcyjnych, na których uczniowie rozpoczną zajęcia wychowania fizycznego już we wrześniu br. W budowę boisk przy Szkołach Podstawowych nr 1, 6, Gimnazjum nr 1 oraz ZSPiG w Śremie gmina zainwestuje ponad 2,5 mln zł. Prace rozpoczęły się w czerwcu i potrwać przez całą przerwę wakacyjną. Inwestycje realizowane są w ramach programu Burmistrza Śremu pn. Boiska Sportowe 2016-2018.

II FESTIWAL ORKIESTR DĘTYCH W ŚREMIE

4 czerwca 2017 miała miejsce muzyczna uczta dla wszystkich miłośników muzyki orkiestrowej. Podczas II Festiwalu Orkiestr Dętych Muzyczny Śrem '2017 w Śremie zagrało dziewięć orkiestr dętych. Festiwal rozpoczął się od występów w różnych częściach miasta i okolicy – w ogrodzie DPS na ulicy Farnej, przy fontannie na Jezioranach czy w ogrodzie DPS w Psarskim. Następnie orkiestry udały się na Plac 20 Października. Wszystkie orkiestry wspólnie wykonały kilka utworów,

m.in. hymn Unii Europejskiej. Po oficjalnym otwarciu odbyły się koncerty poszczególnych uczestników. W festiwalu udział wzięli:

- Stowarzyszenie Kulturalne Orkiestra Dęta w Swarzędzu
- Orkiestra Dęta im. E. Korybalskiego z Rogoźna
- Nekielska Orkiestra Dęta
- Lwówecka Orkiestra Dęta
- Obornicka Orkiestra Dęta
- Orkiestra Mickiewiczowskiego Centrum Turystycznego
- Orkiestra Dęta z Szamocina
- Stowarzyszenie Orkiestr Dętych w Chludowie
- Orkiestra Dęta Towarzystwa Muzycznego im. M. Zielińskiego w Śremie



Odcięty od swoich

Warto przypomnieć

Jerzy Górzeński, jak pisze wielu krytyków, poeta niedoceniony za życia, jak również po śmierci – zmarł 25 sierpnia 2016 roku w Warszawie. Nie miałem okazji poznać Górzeńskiego osobiście, zapewne był postacią nietuzinkową, charakterystyczną. Urodził się w 1939 roku w Stawach pod Dęblinem. Następnie zamieszkał w Warszawie, przy Wileńskiej. Z biegiem lat wspomnienia z warszawskiej Pragi będą zajmowały coraz ważniejsze miejsce w jego poezji, zwłaszcza od Debiutu z aniołem (1997 rok). Był utalentowanym piłkarzem, który zrezygnował z czynnego uprawiania futbolu (nigdy z kibicowania Polonii) na rzecz poezji.

Debiutował we „Współczesności”, pierwszy tomik wydał w 1963 roku. Związany z Orientacją Poetycką Hybrydy, po rozwiązaniu grupy pracował m.in. jako redaktor w „Nowym Wyrazie” i „Literaturze”. Był też prozaikiem, felietonistą i autorem słuchowisk. Miał naturalną świeżość słowa, dar autentyczności, zmysł ironicznej, a równocześnie czulej obserwacji. Był człowiekiem przyjaznym i dowcipnym. Tomik Wszystko jest we wszystkim z 2014 roku okazał się ostatnim, który wydał za życia. Długa droga Jerzego Górzeńskiego wiodła od młodzieńczych prób debiutanckich tworzonych pod wpływem metaforycznego rozpasania „Orientacji Hybrydy” w latach 60. ubiegłego wieku, poprzez ironiczną i bolesną poezję, ku egzystencjalnej wyciszonej, chwilami groteskowej poezji, którą tworzył w latach 80. Wtedy był już poetą niezwykle cenionym, miał wielu wielbicieli. Ale punktem zwrotnym na jego drodze okazał się tom Debiut z aniołem z roku 1997 – jedno z arcydzieł powojennej liryki. Wszystko jest w tym tomie swobodnym poruszeniem pamięci. Obrazy gorzkiego, ubo-

giego, ale barwnego dzieciństwa na warszawskiej Pradze przywołują czasy stalinowskie, w przedziwnym chłopięcym pomieszaniu prawdy i fikcji tworzą wielki prywatny (ale i pokoleniowy) mit historyczny. Wydaje mi się, że od tomu Debiut z aniołem zaczęła się nowa, wspaniała era twórczości Górzeńskiego. Zwrot ku dzieciństwu – jak to zwykle bywa u poetów – spowodował odnowienie się lirycznej dyspozycji, oczyścił wyobraźnię ze wszystkiego, co było w niej obcą naleciałością. Obrazy dzieciństwa stały się też punktami krystalizacji wszystkich dotychczas rozbiegających się form tej twórczości – bo był też Górzeński autorem prozatorskich grotesek i satyr, słuchowisk radiowych, felietonów. I nagle te gatunki literackie zasiły samą lirykę, która przez to stała się niezwykle ruchliwa, zmienna, wieloznaczna. Pojawiły się wiersze i prozy poetyckie, które nazwać by można romantycznymi muzycznymi kapryсами.

Są one cudownie anarchiczne i zarazem zdyscyplinowane. Odnaczają się nie tyle dowolnością, co precyzją w oddawaniu swobodnych porywów wyobraźni. Romantyzm w kolejnym tomie poety To drugie światło (2006) stał się zresztą jednym z wiodących tematów. Jeden z cyklów nosi tytuł Nastroje romantyczne. Wypracował sobie Górzeński własny sposób wprowadzania ogromnej ilości lektur do materii lirycznej – lektury te umieszczał w porządku codziennego życia, w porządku czysto prywatnym, a nie jako przypisy do biblioteki erudyty. Z wielką swobodą Górzeński lawirował między prawdą swoich czystych obrazów lirycznych, a komedią pozorów, która zagraża każdemu obrazowaniu. W tej ambiwalencji mieściła się ironia, sceptycyzm, kpina – one od początku towarzyszyły Górzeńskiemu. W utworach z ostatniego okresu mieszała się proza fabularna z

poezją i z formami dziennikowymi oraz pamiętnikarskimi. To także znak powrotu do źródeł. Górzeński w ostatnich latach trzykrotnie nominowany był do Nagrody Poetyckiej im. K. I. Gałczyńskiego Orfeusz: w 2012 roku za tom Poza tym światem, w 2013 roku za Festyn oraz w 2015 roku za Wszystko jest we wszystkim. W 2016 roku został odznaczony Brązowym Medalem Zasłużony Kulturze Gloria Artis.

Adam LEWANDOWSKI

Opracowano na podstawie zapisów
pośmiertnych na stronach internetowych,
między innymi Gazety Wyborczej,
Culture.pl, pisarze.pl.

Ciągle o niej słowa mi się śnią

Ciągle o niej słowa mi się śnią —
jej oczy są parą statków oddalających się
w ciszy mojego serca
w bezwładzie moich żył i mięśni nie ma miejsca
na jej spojrzenie
jej wargi są dwoma patyczkami na ruchomych
falach nabrzeża
w wystyglých muszlach moich uszu nie ma miejsca
na jej pocałunki
jej włosy są ogniem który pustoszy plażę
w pobliżu mojego oddechu
a jednak wciąż o niej słowa mi się śnią
nie mogę oderwać oczu od tej postaci w ruchu
widzę ją poprzez formy ledwie zaczęte i porzucone
poprzez całe piękno rzeczy nigdy nie dośnionych
jak zbliża się do mnie przez długie lata pamięci
będąc ciągłym wyrazem radości niedoścignionej

Odcinanie i zamawianie

Odcięty od swoich
stworzeń i wytworów.
Od swoich towarów.
ale zawsze wytworny.
Dziad poetycki –
Wyciągający się
jak najdalej
na własnych
nosidłach wiary.
Co łaska
Zamawiający –
to co wiecznie odmowne.

Jędrzej Daleki –

– pradziadek mojej Babci Anieli, żołnierz wojen napoleońskich

cz. IX

W październiku 1813 roku w tzw. Bitwie Narodów pod Lipskiem, armia napoleońska poniosła klęskę. W marcu 1814 r. skapitulował Paryż, a Napoleon I abdykował w czerwcu tego samego roku. Osiadł na wyspie Elbie, gdzie miał wyznaczoną siedzibę. Wykorzystując niezadowolenie wywołane rządami Ludwika XVIII opuścił wyspę i następnego dnia odzyskał władzę i tron cesarski. Niestety, w decydującej bitwie z wojskami koalicji 18 czerwca 1815 r. pod Waterloo, poniósł klęskę. Ponownie abdykował i został zesłany na Wyspę św. Heleny, daleko od Europy, tam gdzie cztery lata wcześniej przebywał w niewoli angielskiej jego żołnierz, Jędrzej Daleki.

W tych wydarzeniach wołyżer Daleki już nie brał udziału. Wraz ze swoimi wojennymi towarzyszami znalazł się jesienią 1813 roku w niewoli austriackiej, o której tak opowiada:

Niewola w Hiszpanii ciągle mi stała przed oczami, gdy nas prowadzono przed generała austriackiego od konnicy. Już wtedy było zimno, bo widzieliśmy białe szrony na ziemi i śliwki pod drzewami, co już same były pospadały. Największą przeto mieliśmy obawę, aby nas do naga nie obdarto jak w Hiszpanii. Tam przynajmniej było ciepło, a tu byśmy z zimną pokarkli. Gdyśmy stanęli przed generałem, pokłękaliśmy wszyscy błagając, żeby nas obdzierać nie kazał. On mruknął sobie pod nosem jakąś kłatwę na nas, a potem powiedział: „Ist schon gut,“ to jest: Już dobrze. – Ale wnet zaczęto nas rewidować. Odebrali nam chustki, fajki, zegarki i inne rzeczy. Przynajmniej zostawiono nam mundury, ale je wprzód obmacali wszędzie, kazali nam się rozbierać, a szukali pod pachą, w trzewikach, w spodniach pieniędzy, a co znaleźli to zabrali. Mnie wzięli niejedną rzecz drogą, ale najwięcej żał mi było, że mi wzięli kaszkiet, a z nim i

owo pismo na krzyż, którym był dostał w bitwie pod Lipskiem. Prosiłem ich bardzo o nie, ale mi go dać nie chcieli. Jednego talara, gdy mnie rewidowano, ukryłem w ręce, ścisnąwszy dłoń i podniósłszy rękę, a w niej talara do góry.

Noc spędziliśmy na dworze pod wsią. Leżeliśmy jak bydło, pod jakimś płotem z agrestu i berberysu, bom czuł kolce, a widział rano czerwone jagody. Ileśmy ucierpieli tej nocy od zimna, darmo opowiadać.

Nad ranem wpędzili nas do jakiejś izby ogrzanej. Żołnierze stali u drzwi na straży. Tu o małym nie zginął marnie. Dostawszy się bowiem z zimna do ciepłej izby, taka mnie opadła niemoc, że myślałem, iż zostaną na miejscu. Żeby więc zaczerpnąć świeżego powietrza, spieszę do drzwi, a tu żołnierz jak mnie uderzył bagnietem w piersi, padłem przez próg i zemlałem. On myślał, że chcę uciekać. Szczęściem, że bagnet ślizgnął się po guzikach od mego munduru, inaczej byłby mnie przeszył. Przyszedszy do siebie uczułem ból w piersiach, i ujrzałem lekką ranę, która się jednak snadno zagojiła. To mnie jednak najwięcej bolało, że uniknąwszy kuli w tyłu bitwach, teraz jako więzień w taką dostałem się poniewierkę, że mnie lada żołdak gburowaty popychał i szturchał.

Kazano nas potem transportować do cesarskich krajów. My bojąc się o odzież prosiliśmy znów owego generała, abym był łaskaw dać marszrutę z wyraźnym poleceniem, żeby nas nigdzie nie obdzierano. Dostaliśmy ją. Tak tedy ruszyliśmy do niewoli, ale dokąd nas poprowadzą, tego nam nie powiedzieli.

Pod mocną strażą przeszliśmy cały kraj Bajerski

(Bawarski). Kto zna jak gorzki chleb niewolnika, ten nie będzie się dziwił, że miłe zachowałem wspomnienie o tym kraju. Kilka razy się bowiem zdarzyło, że gdyśmy głodni i strudzeni przybyli do jakiegoś miasta na nocleg, obywatele dowiedziawszy się cośmy za jedni, brali nas dobrowolnie za pozwoleniem straży naszej do siebie na kwatery. Tu człowiek dostał wybornego jadła i picia, przespał się wygodnie i na chwilę zapomniał o biedzie. Czasem dawali nam i parę groszy na drogę. Rano przyprowadzili nas do naszej straży i oddawali nas jej, a my ruszaliśmy dalej nie wiedząc, co się z nami stanie. Niechże Bóg miłosierny tym chrześcijańskim duszom ich uczynność i dobroć nagrodzić raczy, jeśli nie w tem, to w przyszłym życiu! O Bajerach nie mogę tylko dobrze myśleć i mówić. Przyprowadzono nas później do miasta Czeskiego Jeger, które jest małą forteczką. Stąd zaprowadzono nas do Pragi, gdzieśmy sześć dni i tyleż nocy bawili. Rozkwaterowano nas po różnych miejscach. Siedmiu nas, to jest czterech Polaków i trzech Litwinów zamknięto w jakichś ogromnych stajniach, gdzieśmy prosto na gnoju siedzieli, nudząc się okropnie i cierpiąc wszelki niedostatek. Nikośmy nie widywali prócz jednego Niemczyka, który trochę kiepsko mówił po polsku, a który codziennie przychodził lampy zapalać i gasić, dla czegośmy go też lampierzem, a czasem lampartem nazywali.

Ja raz odzywam się do niego z narzekaniem, żeśmy tak beczynni i nieszczęśliwi. A on mi na to: „Kto ma Geld, może sobie pomóc.” „A skądże mieć pieniądze, rzekłem, kiedy wasi ze wszystkiego nas obdarli, i tylko nam tę biedną odzież zostawili?” To rzekłszy, poszedłem do moich kamratów, którzy nieco dalej na słomie leżeli. Jeden z nich mnie pyta: „Cóżże ty gadał z tym lampartem?” Powiedziałem im jak było. — „Idź Jędrzeju, rzekł jeden z Litwinów, i spytaj ile on żąda za nasze uwolnienie?” „A skądże weźmiemy pieniądze? Ja już nie mam ani grosza przy duszy,” odpowiadam mu. „O to nie pytaj! Ja mam zaszyte w mundurze i za was wszystkich zapłacę.” Pobiegłem więc do lampierza, który zdawał się czekać u drzwi na mnie, i pocichu odzywam się do niego: „Tyś pewnie poczciwy człowiek, ulituj się nad naszą biedą. Lata całe biliśmy się po różnych krajach, ucierpielismy wiele, a dziś tak jęczymy w niewoli! Dopomóż nam do ucieczki, a my ci zapłacimy.” „A co mi dacie?”

„Dalibyśmy ci wiele, aleśmy biedni. Co możemy to ci damy. Dostaniesz po trzy talary za każdego z nas, skoro nas oswobodzisz.” „Gut” odpowiedział Niemczyk. Tej samej nocy obiecał nas oswobodzić i to zaraz z wieczora, abyśmy przez noc całą mogli spory kawał drogi zrobić. Wieczór był ciemny, i wicher szumiał jesienny. My słuchamy, rychło się drzwi otworzą i przyjdzie Niemczyk a tu go nie widać. Biję godzina dziewiąta, a tu go nie ma. Słyszymy dziesiątą, on jeszcze nie przychodzi. Strach nas, czy Niemiec nas nie zdradził. Aleć nie. Wkrótce bowiem przybył i zabrał nas ze sobą. Najpierw otworzył jakieś drzwi, co się zdawały zamurowane — potem prowadził nas przez jakieś sklepienia i gmachy, aż nareszcie wyszliśmy pod gołębieniebo. „A dokąd teraz?” pytamy. „Musicie najpierw, odrzekł, do mego domu się udać, gdzie zanocujecie, boć nie wiecie drogi, łatwobyście więc wpadli w ręce straży. Jutro wczas wskażę wam dalszą drogę.”

Noc była ciemna. Usłuchaliśmy jego rady. Szliśmy przez długi most, na którym stała figura św. Jana Nepomucena, a minąwszy wiele ulic i kątów, dostaliśmy się nareszcie do domu naszego przewodnika. Wprowadził nas do izby, kazał nagotować kapusty i kartofli, ale wpierrządał od nas obiecanej zapłaty. Litwin wyliczył mu należytość, poczem zjadłszy wieczerzę, udaliśmy się na spoczynek, ciesząc się żeśmy wolni. Nad ranem budzę mego sąsiada i mówię: „Coś nasz gospodarz zasnął, bo dotąd nie przybywa!” Ale sąsiad przewrócił się na drugi bok i chrapi w najlepsze. Ja trochę niespokojny wstaję i chcę drzwi otworzyć, a tu drzwi zaryglowane. Budzę czempredziej kolegów i powiadam, żeśmy narygiel zamknięci. Zaczynamy się wszyscy lękać, aleśmy się wreszcie na to zgodzili, iż pewnie gospodarz przez ostrożność nas zamknął, żeby nas przypadkiem nie odkryto. Już się dzień był zrobił — na ulicy słychać hałas i turkot, a my czekamy i czekamy, a gospodarza jak nie ma tak nie ma. „Żle z nami, mówię, — mnie dusza coś przepowiada, że to nie dobrze będzie z nami.” „Co tu robić?” mówią inni, — drzwi wysadzić lub wołać o ratunek i wyznać, że zdradca nas oszukał?” „Ale może on niewinny, odrzekłem dalej, — któż wie czego zatrzymało? Może to na nasze dobre, że on tak długo nie przychodzi?” Radzi nieradzi więc czekamy, siedząc zamknięci cicho jak ptaszki przelęknione w klatce.

[...] Wtem też skrzyknął zamek i drzwi się do naszej izby otwarły. Zrywamy się wszyscy jak oparzeni, witając z radością naszego lampierza. Ale jakież było nasze zdziwienie, gdyśmy za nim we drzwiach ujrzeli wartę. Nim który z nas zdołał usta otworzyć, już lampierz zawołał: „Jesteście dezertery i jako takich na policyi was zameldowałem!” „Dobrze, mówię, mój niemiecze, ali i tobie na sucho nie ujdzie, boś ty pierwszy podał myśl do ucieczki – wzięłeś pieniądze a teraz nas tak haniebnie zdradziłeś. Pod tym jest każdy zdrajca a więc i ty, Ale poczekaj, niech nas spotka teraz co chce, my powiemy coś za ptaszek!”

On krzyknął na wartę i kazał nas wyprowadzić. Z wielkim strachem przysiliśmy znowu przed owę stajnię. Tu zastaliśmy jakiegoś oficera, który wyprawiał jeden z naszych oddziałów do Cieszyna. My więc padamy na kolana i prosimy, żeby się zlitował nad nami i pozwolił nam iść społem. Widać, że lampierz miał strach okropny, żebyśmy go nie oskarżyli, bo sam prosił bardzo za nami. Oficer, jakas pocziwa dusza, przystał na naszą prośbę. Wszyscyśmy więc razem wyszli z miasta nader szczęśliwi, że nam tak uszło na sucho, tylko ów pocziwy Litwin żałował swych dwudziestu jeden talarów, które za nas zapłacił.

Stósownie do marszrutu naszej szliśmy przez Morawy do Szląska, to jest przez miasta Berno i Ołomuniec do Cieszyna. W tym marszu dużośmy biedy zażyli. Cesarscy srogo się z nami obchodzili. Raz tylko na dzień trochę nam zupy dawano, chleba i mięsa nigdy. Takeśmy też byli głodni, żeśmy w drodze brali z pola główki surowej kapusty i ćwikły i gryźliśmy po trosze, by głód zaspokoić jakokolwiek.

Pamiętam jednakże, iż raz przecie w Morawach dobrzem się pożywił i uraczył. Dnia jednego bowiem przysiliśmy do jakiejś wsi na nocleg. Zaprowadzono nas do majątnego gospodarza, który miał rozległe i porządne budynki. Widać też było u niego dostatek wszystkiego. Przeszedłszy z drogi usiedliśmy na ławce przed domem. Było to w sam dzień Świętej Katarzyny. Siedzimy na dworze zmęczeni i głodni. Zębami szczękamy z zimna, a nikt nam nic nie daje, ani do izby nie prosi ciepłej. Gdybyśmy byli wolni, byłibyśmy sami weszli choć i gwałtem, ale w niewoli woli człowiek cierpieć, aniżeli się

prosić, a za to być jeszcze sponiewieranym. W izbie światła zapalili, bo już się zaczęło zmierzchać. Zbliżam się do okna i patrzę. Co za miły widok!... Na wielkim stole, na białych obrusach zastawione rozliczne jadlo i picie. Były też tam różne ciasta i pieczenie, a we flaszkach piwo i wino. Połknąłem ślinkę i oblizałem się kilka razy, ale chcąc uniknąć niepotrzebnej oskomy, wróciłem na ławkę do swoich kolegów i powiadam im com widział. Jeszczem nie był skończył mego opowiadania, gdy przybyło kilku sąsiadów czy przyjaciół, snać zaproszonych. Weszli do izby, a my jak siedzimy tak siedzimy. Aliści wychodzi sama gospodyni i mówi do mnie: „Sem, paneczku, dziś święto mojej patronki, prosimy was wszyskich do kompaniji.” O anielska kobieto, pomyślałem sobie, tego nam dwa razy nie powiadaj! -

Stanęliśmy wszyscy jakby do ataku. Każdy z nas, choćby biedą przygnieciony, wypryknął się jak mógł, i wpakowaliśmy się do izby. Trzeba było widzieć nasze miny i wesołe twarze! Każdy z nas ostrzył zęby, a wdzięcznie się uśmiechając do nakrytego stołu i wąsa pokręcał, a niecierpliwił się, że jeszcze nie może jeść. Gospodarz bowiem wprzód wypytał się każdego z nas, skąd jesteśmy, cośmy za jedni, gdzieśmy się bili. Gdy się o wszyskiem od nas dowiedział, prezentował nas swoim gościom, a dopiero potem posadził za stołem. Jedliśmy i piliśmy do upadłego. Bawiliśmy się gracko do północy, bo każdy z nas miał co opowiadać, a przy dobrym apetycie jakoś i pamięć się odświeżyła i rozum zaostrzył. Zapomnieliśmy w onczas, żeśmy w niewoli. A gdy goście się rozeszli, nam przyniesiono słomy, a dobrze traktowani spaliliśmy słodko aż do rana.

Pocziwi Morawianie! Niech im Pan Bóg we wszystkim za to błogosławi.

W Cieszynie zabawiliśmy niedługo, a stamtąd transportowali nas na Podgórze, stąd zaś do Krakowa. W Krakowie był w onczas gubernatorem Płatów rossyjski generał, bo Moskali było dużo w Krakowie. Ze strachem weszliśmy do miasta, bośmy się lękali, czy Moskale nie będą nas znów poniewierać. Stawieni przed generałem i wyegzaminowani, oddaliśmy nasze papiery. On kazał nam odejść i czekać – my też cztery dni czekaliśmy. Ale Bogu dzięki obchodzono się z nami po ludz-



Most Karola w Pradze, Widokówka, XIX w.

ku. Traktowali nas jako zasłużonych żołnierzy, co to powąchali prochu nieraz, i pod gradem kul niejednym byli. Wyznaczyli nam wygodne mieszkania w koszarach i dawali nam racyje chleba i mięsa jak swoim.

Czwartego dnia wołają nas do gubernatora. Idziemyz wielkim strachem, co to będzie z nami? A tu jenerał odzywa się do nas łagodnie: „Dzieci pójdziecie do domu,” – i oddaje nam nowe marszruty. My podziękowaliśmy za łaskę najpierw, a potem poszliśmy do miasta pożegnać się nawzajem.

Ostupałem prawdziwie w pierwszej chwili, gdy usłyszał te wyrazy „do domu”, bośmy myśleli wszyscy, że nas gdzie zgnoją Moskale do niewoli, i że już nigdy swoich nie ujrzymy. To słówko „do domu” ciągle mi brzmiało w uszach. Nie wiedziałem czy się mam cieszyć, czy płakać, bo do obojga byłem gotowy. Czułem się wolnym, a jednak chodząc po ulicach Krakowa, zdawało mi się ciągle, że ktoś z nabitą bronią za mną chodzi.

A dopiero pożegnanie nasze było bardzo rzewne. Serce nam prawie pękało od żalu, gdyśmy się rozstawali. Niektórzy bowiem z tych towarzyszków niewoli byli zemną w Hiszpaniji. W obcym kraju kochaliśmy się jak bracia. Jeden drugiego wspierał jak mógł w każdej potrzebie. A teraz mieliśmy się rozstać na zawsze, i to jako zwyciężeni, niewolnicy, – my, którzyśmy tyle razy zwyciężali! A więc, mówiliśmy do siebie, więc wszystko się skończyło?... Ach jaki smutny koniec! – Żal się Boże, po tylu latach cierpień, niedoli i poniewierki widzieć się samotnym i opuszczonym na świecie, i jako żebrak i kaleka wracać do swojej!

Opracowała Maria KONIECZNA

Klasztorzek – zapomniany zakątek

Klasztorkiem nazywana jest część Starego Miasta. Z czym kojarzy się mieszkańcom Śremu ta nazwa? Osobom zamieszkującym tę część miasta z kościołem, gdyż wielu z nich uczęszczało tam na msze i nabożeństwa. Część śremian kojarzy, że znajduje się tam Dom Pomocy. Zdecydowanej większości nazwa ta kojarzy się z miejscem, gdzie uczęszcza się na rehabilitację. Kto ma rację? Tak naprawdę wszyscy, ale nie do końca. Do wyjaśnienia tego zagadnienia należy poznać historię tego miejsca.

Klasztorzek znajduje się przy ulicy Promenada i ma swoją bogatą i trochę tajemniczą historię. Pięknie położone miejsce, wyniesione około 20 m nad niższą płynącą Wartą. Najlepiej widoczne jest to z obwodnicy miasta – z daleka widać zabudowania górujące nad rzeką.

Sama nazwa Klasztorzek sugeruje, że to miejsce miało coś wspólnego z klasztorem. Rzeczywiście, zapewne w tym miejscu powstała pierwsza śremska siedziba Zakonu Franciszkanów, którzy do Śremu przybyli prawdopodobnie w 1261 r. Kilka lat później, 1 czerwca 1270 r. na kapitule w Złotorzy, Konwent Śremski pod wezwaniem św. Franciszka został przyjęty do prowincji czesko-polskiego zakonu i jest to fakt potwierdzony historycznie.

Franciszkanie jako zakon typowo miejski, zakładali swoje siedziby przy szlakach handlowych, w miastach, w pewnym oddaleniu od kościoła parafialnego. Śrem otrzymał przywilej lokacyjny w 1253 r., więc w 1261 r. miasto dopiero się kształtowało i Zakon musiał dostosować się do wyznaczonego planu miasta.

Fundatorami klasztoru byli książę Bolesław Pobożny i jego żona Jolenta. Księżna Jolenta (1244-1305) to ciekawa postać. Po śmierci męża w 1279 r. przez kilka lat przebywała w śremskim klasztorze, zanim wstąpiła do Zakonu Klarysek w Gnieźnie w 1284 lub 1285 r. Księżna została beatyfikowana w 1827 r. i jest pierwszą osobą beatyfikowaną mającą związek ze Śremem. Jej postać jest warta przybliżenia: pochodziła z królewskiego i cesarskiego rodu, była córką węgierskiego króla Beli IV z rodu Arpadów i Marii córki cesarza bizantyjskiego Łaskarysa.

Drewniane zabudowania klasztorne nie przetrwały zbyt długo. Prawdopodobnie uległy zniszczeniu w XIV w., podobnie jak miasto, zapewne w czasie wojny domowej Grzymalitów z Nałęczami. Z chwilą nowej lokacji miasta w 1393 r. na prawym brzegu Warty na wyspie Kobylec, funkcjonowanie klasztoru w starym miejscu straciło rację bytu. Franciszkanie na początku XV w. (1426 r.) przenieśli swoją siedzibę na prawy brzeg Warty, ale na starym miejscu zakonnicy pozostawili swój ogród.

Na początku XVII wieku, tereny te franciszkanie odstąpili Zakonowi Klarysek z Gniezna. Pomysł założenia Zakonu Klarysek w Śremie powstał w 1616 r. w Gnieźnie, gdzie odżyła pamięć o dłuższym pobycie księżnej Jolenty w Śremie. Na prośbę sióstr z Gniezna, popartą przez prowincjałą franciszkanów Jana Donata Caputo i biskupa poznańskiego Jędrzeja Opalińskiego, śremscy franciszkanie odstąpili im te tereny. Pierwsze zakonnice przybyły z Gniezna w 1619 r., a uroczyste wprowadzenie Klarysek do wybudowanego klasztoru miało miejsce w 1623 r. W roku 1647 Jolenta Niepruszewska postawiła nowy drewniany



Podpiszdjęcia

kościół św. Krzyża, który miał siedem ołtarzy oraz ozdobną ambonę. Po obu stronach kościoła wznosiły się zabudowania klasztorne. Klasztor przetrwał ponad 100 lat do pożaru, który miał miejsce 19 marca 1766 r. Nowe, murowane budynki wzniesiono w 1787 r. w stylu barokowym. W okresie zaboru pruskiego Konwent Klarysek został rozwiązany w 1838 r.

Po likwidacji Konwentu Klarysek tereny te przeszły w ręce prywatne. Zakupiła je pani Krzyżanowska, właścicielka Murzynowa koło Środy. Dawny klasztor pełnił funkcję spichlerza folwarcznego, a cały majątek nowa właścicielka nazwała Lubomierzem.

Ważnym wydarzeniem w historii Klasztoru było utworzenie, przez Teofila Mateckiego i Emilię Szczaniecką, w tym miejscu wojskowego lazaretu dla rannych powstańców, po przegranej bitwie pod Książem, która rozegrała się 29 kwietnia 1848 r. Do lazaretu trafiła większość rannych powstańców przywiezionych do Śremu. Wśród zmarłych

rannych znajdował się dowódca obozu Książ Florian Dąbrowski. Major Dąbrowski i inni zmarli powstańcy zostali pochowani we wspólnym grobie na cmentarzu parafialnym przy ul. Cmentarnej. Dzisiaj w tym miejscu stoi charakterystyczny pomnik poświęcony poległym powstańcom. Prochy majora Dąbrowskiego zostały przeniesione ze Śremu do Winnogóry koło Miłosławia, gdzie spoczęły w rodzinnym grobowcu Dąbrowskich, mimo, że Florian nie był spokrewniony z twórcą Legionów Janem Henrykiem Dąbrowskim.

W późniejszych latach budynek stał opuszczony do chwili wykupienia go na potrzeby Zakonu Jezuitów. Zakupu dokonał Nepomucen Kęszycki z Błociszewa występując w imieniu grona okolicznej szlachty. Zebrane środki pozwoliły na przebudowę kościoła oraz remont klasztoru. Jezuita przybyli do Śremu w 1854 r. wyrzuceni przez władze pruskie z Obry koło Wolsztyna. Przebudowany kościół otrzymał wezwanie patrona Zakonu św. Ignacego Loyoli. Całość otrzymała modny wówczas wystrój neogotycki. W klasztorze w 1855 r.



Podpiszdzjęcia

otwarto Dom Misyjny Jezuitów. Po rozbudowie o dodatkowe skrzydło oraz piętro otwarto w 1869 r. Kolegium św. Józefa z fakultetem dla zakonnej młodzieży. Placówka ta wykazała się dużą aktywnością, tutaj koncentrowało się życie religijne Śremu i okolicznych wsi. Niestety przetrwało ono tylko do 1972 r. i rozwiązano je na mocy ustawy zakazującej działalności zakonu na terenie Rzeszy.

Ze względu na to, że zabudowania klasztorne były własnością prywatną, wydzierżawiono je na pewien czas na mieszkania. W 1892 r. stary klasztor został sprzedany za sumę 120 tys. marek Poznańskiemu Prowincjonalnemu Związkiowi Stanowemu z przeznaczeniem na dom dla ubogich. Po adaptacji budynku w 1893 r. umieszczono tu pacjentów Krajowego Domu Ubogich. Rozszerzono go wkrótce w 1909 r. o wzniesiony nowy budynek szpitalny dla nieuleczalnie chorych i kalek. Po odzyskaniu niepodległości w nowym budynku umieszczono szpital dla osieroconych dziewcząt chorych na jaglicę, wspomagany przez Polsko-Amerykański Komitet Pomocy Dzieciom. W

1950 r. zakład zmienił nazwę na Państwowy Zakład dla Dorosłych. W nowym budynku w 1952 r. powstał Ośrodek Szkolenia dla Reumatyków, który w 1957 r. został przemianowany na Poznański Ośrodek Reumatologiczny w Śremie. Ostateczny rozdział obu ośrodków nastąpił w 1964 r. W budynku wybudowanym w 1909 r. funkcjonuje Poznański Ośrodek Reumatologiczny, a na pozostałych terenach Klasztoru swoją siedzibę ma Zakład Opiekuńczo-Lecznicy.

Na terenie Zakładu znajduje się zespół poklasztorny, który składa się z kościoła św. Ignacego Loyoli (obecnie kaplica Matki Boskiej Wniebowziętej), budynku klasztornego i zabudowań gospodarczych. Istnieje pewna nieścisłość w nazwie kościoła – w przewodnikach funkcjonuje jako kaplica Matki Boskiej Wniebowziętej, tymczasem w oficjalnych dokumentach figuruje nazwa kościół św. Ignacego Loyoli.

Barokowy kościół powstał w 1787 r. na potrzeby klarysek, późniejsze neogotyckie przeróbki

wprowadzili w 1855 r. jezuici. Kościół jest budowlą halową, trójnawową, zamkniętą węższym wielobocznym prezbiterium. Od zachodu przylega zakrystia. Fasadę zdobi przylegająca do skraju wysmukła wieżyczka, której najwyższą kondygnację, grubszą od podstawy, wieńczy spiczasty hełm. Wyposażenie pochodzi z 2 poł. XVIII i XIX w. Nawę główną przykrywa sklepienie kolebkowo-krzyżowe ozdobione polichromią ze scenami z życia Marii z końca XVIII w. Z tego samego okresu pochodzi polichromia na filarach z postaciami 4 ewangelistów. Kolebkowe sklepienie w prezbiterium pokrywa w części klasycystyczna polichromia ze scenami koronacji Ducha Św. W oknach 2 witraże sprowadzone z Francji w 1855 r. przedstawiające św. Stanisława Kostkę i bł. Andrzeja Bobolę oraz późniejszy w Wniebowzięciem Matki Boskiej. Na uwagę zasługuje rzeźba NMP Jazłowieckiej z białego marmuru, autorstwa Tomasza Oskara Sosnowskiego, przywieziona z Rzymu. Z tą figurą związana jest pewna historia. Mianowicie do pani Dyrektor zgłosiły się Siostry Niepokalanki z Szymanowa, które chciały ją pozyskać. Uzasadniały to tym, że w ich klasztorze znajduje się większość wykonanych przez T. O. Sosnowskiego figur NMP Jazłowieckiej. Figurata znajduje się na stanie Ośrodka i nie mogła być przekazana. Historia tej i innych figur została opisana w pięknym wydawnictwie Pani nasza Jazłowiecka, autorzy Halina Kosyra- Cieślak i Siostry Niepokalanki, Szymanów 2000 r.

W kruchcie znajduje się późnorokokowy krucyfiks. W samym kościele uwagę zwraca prospekt organowy. Pod świątynią znajduje się krypta grobowa z wejściem od zewnątrz, w której ostatnią pochowaną osobą w 1870 r. był jezuita Jan Kułak zwany Palmą. Według miejscowej tradycji z krypty ma prowadzić podziemne przejście pod Wartą do kościoła pofranciszkańskiego na Ostrówku. Przylegający poklasztorny budynek zabudowany wokół nie w pełni zamkniętego dziedzińca powstał w 1787 r. Rozbudowany został w stylu neogotyckim w 1867 r., a ostateczny kształt otrzymał w 1920 r. Warto zwrócić uwagę na oryginalną lampę gazową na budynku gospodarczym.

Z ogrodu zakładu rozciąga się ładny widok na okolicę Warty i położone w dole miasto. Z inspiracji Towarzystwa Miłośników Śremu w ogrodzie

posadzono dąb poświęcony Florianowi Dąbrowskiemu.

Aktualnie na terenie Klasztoru funkcjonują dwie instytucje. W budynku z 1909 r. znajduje się Poznański Ośrodek Reumatologiczny. Pozostały teren zajmuje Zakład Opiekuńczo-Lecznicy, którego organem nadzorującym i finansującym jest Samorząd Wojewódzki. Dyrektorem Ośrodka od prawie 20 lat jest pani Barbara Skibska. Warto wspomnieć, że budynki i całość terenu wpisane są do rejestru zabytków. Przez te lata przeprowadzone zostały remonty wszystkich budynków z zachowaniem ich wyglądu architektonicznego, a równocześnie przystosowano do potrzeb Ośrodka i pensjonariuszy. Podobnie przeprowadzono renowację architektury zieleni, uporządkowano tereny wokół budynków. Zbudowano nowy obiekt – pawilon rehabilitacyjny. Aktualnie kościół jest zamknięty ze względu na trwające prace konserwatorskie. Odbывают się w nim dwie msze dla pensjonariuszek – w środę i sobotę o godz. 10. Są one dostępne dla wszystkich, którzy chcą w nich uczestniczyć.

Trzeba wspomnieć, że systematycznej pomocy finansowej udziela Starostwo Powiatowe. Gmina Śrem na prośbę pani Dyrektor uporządkowała tereny przylegające do Ośrodka. W okresie letnim z myślą zwłaszcza o pensjonariuszach przeprowadzony zostanie remont ul. Promenada.

Jak stwierdziła pani Dyrektor, teren Ośrodka dostępny jest dla wszystkich mieszkańców Śremu. Jest tylko jeden warunek – należy zgłosić wejście i wyjście na jego teren.

Tych z Państwa, którzy przeczytali ten tekst zachęcam do spaceru do tego zapomnianego zakątka Śremu. Warto!!!

Zdzisław ŻELEŹNY
Foto: Bartosz Żeleźny

Warto pomyśleć

Jestem, więc pytam

Będąc ciekawymi świata dziećmi potrafiliśmy zadawać nawet po kilkaset pytań dziennie, często rozpoczynając od „dlaczego?”. Stopniowo nam to mijało, m.in. dzięki szkole, która bardziej od pytań oczekiwała odpowiedzi – i to jednoznacznych, tak jak napisano w podręcznikach. W dorosłym życiu bywa, że nie pytamy wstydząc się niewiedzy; udajemy, że na wszystko znamy odpowiedź i wiemy, jak ludzkie (cudze) problemy rozwiązać. Jeśli jesteśmy w tym sprawni, możemy nawet robić polityczną karierę... A przecież już Lao-Tse powiedział: „Prawdziwie mądry człowiek nie wstydzi się zadawać nawet najprostszycy pytań”, a Konfucjusz dopełniając stwierdził: „Nie staraj się poznać odpowiedzi, spróbuj zrozumieć pytania”. Żeby pytać trzeba odwagi, świadomości czego się bać trzeba, a czego nie. Potrzebna jest zgoda na to, że możemy nie poznać odpowiedzi. Brak takiej pokory budzi różnego rodzaju lęki, strach przed nieznanym. Warto pomyśleć...

Chcemy być wolni i żyć bezpiecznie. Da się to pogodzić? Wolność to prawo dokonywania wyborów (nie zawsze trafnych), to możliwość dokonywania zmian (bez gwarancji powodzenia), to odpowiedzialność za podejmowane decyzje... Można się bać? Więc może bezpieczniej, jeśli ktoś nam powie, da gotową receptę, zdecyduje, zwolni nas z trudu samodzielnego myślenia? Dwadzieścia kilka lat temu Józef Tischner pytał „Czy nie stajemy się dziś ofiarami nowego, nieznanego nam dotąd lęku – lęku przed wolnością?”¹. A dzisiaj? Czy ten lęk nie wybrzmiewa nadal, może nawet głośniejszy niż wtedy? Warto pomyśleć...

Dzisiejsza coraz bardziej otaczająca nas rzeczywistość: Zgiełk, pośpiech, zabieganie, wyścig szczurów, brak czasu, niekończąca się pogoń za coraz większymi pieniędzmi albo codzienny trud

mozolnego wiązania końca z końcem... Szum medialny, wciskająca się wszędzie polityka, podziały, bezmyślne swary, kłótnie, kwalifikacja do lepszego lub gorszego „sortu”, tropienie wrogów, nietolerancja... Być czy mieć? Może inaczej – kim być i co mieć? A nasza (każdego człowieka) wolność? Bez granic? Czy prawdą jest, że nie umiemy się samoograniczać? I nie umiemy pilnować tych granic, które sami sobie wyznaczyliśmy? To chyba Jan Paweł II powiedział, że wolność jest „do”, a nie „od”. Bo wolność „od” to jest samowola i swawola. Ta wolność, o którą kiedyś walczyli ludzie pierwszej Solidarności, to była wolność „do” – wolność do tego, aby organizować się, budować, samodzielnie myśleć. Czyż nie jest tak, że teraz wolność jest postrzegana przez wielu jako wolność „od” wszystkiego; że mamy ludzi chętnych się wolnością od kultury, wolnością od tolerancji, wolnością od dobrych obyczajów? Czy mamy to zaakceptować? Warto pomyśleć...

A co z naszą tolerancją? – Czy nie żyłoby się wszystkim lepiej, gdybyśmy (tak na przykład) potrafili ze zrozumieniem poszukać objazdu, bo czasem (rzadko) ulica jest zajęta przez procesję; gdybyśmy (tak na przykład) bez protestów godzili się z nieco utrudnionym dotarciem do kościoła, bo czasem (rzadko) ulica jest zajęta przez biegaczy? Warto pomyśleć...

Mamy lato, wakacje, urlopy i... zajmować się poważnymi tematami zamiast spokojnie poleniuchować? Oczywiście leniuchujmy! Poleźmy sobie trochę na dowolnie wybranym boku. Bawmy się, bądźmy weseli! Przecież smutek to choroba wakacji. Ale czy poważne myślenie musi być „zamiast”? Bo kiedy pomyśleć, skoro przez resztę roku brak czasu? Nie marnujmy więc urlopów

plotkami czy głupią nienawiścią do wszelkiego sortu „innych”. Spróbujmy chodzić bezpośpiechu zatrzymując się, aby zobaczyć to co piękne. Wytnijmy z każdego dnia parę kawałków ciszy. Kto potrafi zamilknąć, widzi dokładniej, widzi dalej. Nie zapominajmy, że dobre wychowanie, kultura czy świadomość nie mogą mieć wolnego. Kultura rymuje się z lekturą. Dlaczego mielibyśmy nie pozwolić sobie codziennie na kilka „łyków” dobrej książki? A może byśmy tak spotkali się i porozmawiali z ludźmi, którzy są blisko, którym w roboczych miesiącach przesyłamy okolicznościowe życzenia, zapewniamy o pamięci, czasem zadzwonimy, pozdrowimy, powiemy coś tam, że „musimy się spotkać, będziemy w kontakcie...” i na tym się kończyć, bo nie mamy czasu? Czy to trudny program na urlop? Niemożliwy do realizacji? Nieatrakcyjny? Warto pomyśleć...

Urlopowe, wakacyjne wyjazdy, ważna sprawa. Planujemy z zapalem termin i wybieramy miejsce. Ogłaszamy światu, że to czas naszej wolności, odpoczynku, ładowania akumulatorów, zachowania odmiennego niż przez cały pracowity rok. A jak

może wyglądać praktyka? Może tak, jak powyżej. Ale czy również nie bywa inaczej? Na przykład: Pokonawszy lokomocyjne uciążliwości docieramy do celu i – po ewentualnej lustracji lokum i otoczenia – szybko i uruchamiamy swoje zdolności fotograficzne, aby „udokumentować”. Uszczęśliwiamy więc krewnych i znajomych rozsyłanymi w ilościach hurtowych fotkami wzbogaconymi tekstami typu „Pozdrowienia z Międzyzdrojów przesyłają...” (a niech wiedzą, że wypoczywamy – ha!). Co jeszcze umieścimy w naszym programie odpoczynku? Jeśli nad morzem, to może po wywalczeniu miejsca na plaży i oznaczeniu swego terytorium błogie wylegiwanie się wśród tłumów, gwaru sąsiadów? No, ale przecież to nie ten sam tłum czy hałas co w domu i nawet szum morza da się usłyszeć. A przede wszystkim: jesteśmy wreszcie wolni i to nasz wybór! Co by tu jeszcze? W co się bawić? Poimprezujemy wieczorami dbając, żeby zbyt cicho nie było. Mogą być atrakcje typu plażing, smażing, grilling, piwing, spacering czy inny walking (znajomość młodzieżowej „polszczyzny” się przyda...), a dla duchowego rozwoju – disco polo (patriotycznie!).



Jeszcze tylko odwiedzmy przyrodę, są piękne widoki, trzeba je szybko sfotografować, żeby w domu w wolnym czasie spokojnie wszystko obejrzeć i znajomym pokazać, bo nie byli tam. (Oczywiście możemy to skorygować – ewentualne góry, jeziora, zagraniczne kurorty...). Ale generalnie – zły program? Pozabialiśmy czas, zmęczyliśmy się „zdrowo” i dobrowolnie. Wolność! Warto pomyśleć...

Chcemy być wolni? Zawsze? A może wygodnie trochę odpuścić z tej wolności? W końcu mamy tę demokrację i jesteśmy suwerenem (oj, chyba nie ma pewności, czy rzeczywiście wszyscy...), więc suwerennie możemy sobie wybrać wybrańców, na których potem z przekonaniem ponarzekamy. Oni mają nas urządzić, myśleć w naszym imieniu, powiedzieć nam z czego mamy być zadowoleni. A przede wszystkim – dawać wszystko, co nam się słuszenie należy. Chleb i igrzyska! No i nie pozbawiać nas tej wolności, tej „od” uczestniczenia w wyborach, zajmowania się jakimiś tam imponderabiliami, odpowiedzialności za swoje życie. Tego chcemy? „Oni” nam to chętnie obiecują i akurat takiej obietnicy dotrzymają. Warto pomyśleć...

Są ludzie, którzy nie chcą ponosić odpowiedzialności. Łatwo im przy tym poszukać winnych tego, co im się nie udaje. Czy im z wolnością po drodze? Czy oni lepiej się czują, gdy za nich decydują inni? Są ludzie zadowolający się braniem. Czy jest na świecie człowiek, który będzie niezadowolony, że dostał jakieś pieniądze? Są ludzie, którzy potrzebują konserwatywnego trwania w tym, co znają. Czyż nie daje im to poczucia bezpieczeństwa? Są ludzie pogubieni i załęknieni. Warto pomyśleć...

Warto myśleć. Samodzielnie. Nie przyjmować bezkrytycznie „prawd” objawianych przez ludzi, których celem jest utwardzanie swoich zwolenników, przekształcanie ich w wyznawców. Umieć wyławiać z szumu medialnego, odróżniać fakty od narzucanej „jedynie słusznej” ich interpretacji. Może dzięki temu łatwiej uda się rozumieć pytania i nie oczekiwać na wszystko odpowiedzi? Warto...

Pięknie napisał Grechuta: „Wolność to skrzypce z których dźwięków cud / Potrafi wyczarować mistrza trud / Lecz kiedy zagra na nich słaby gracz / To słychać będzie tylko pisk, zgrzyt, płacz”².

A jeśli wolimy tego „słabego gracza”? Może zdarzyć się jak napisał Dostojewski: „skończy się to tym, że przyniosą nam swoją wolność i składając ją u naszych nóg powiedzą: Lepiej już zróbcie z nas niewolników, ale nas nakarmcie”³.

Warto pomyśleć?

Leszek MAŃKOWSKI
Foto: Autor

¹ Józef Tischner, *Nieszczęsny dar wolności*, „Tygodnik Powszechny” nr 46/1992.

² Marek Grechuta, *Wolność*

³ Fiodor Dostojewski, *Bracia Karamazow*, „Legenda o Wielkim Inkwizytorze”

CYRYL w sieci, czyli wirtualny spacer

Tysiące świetnych fotografii, setki planów dawnego Poznania, unikatowe pocztówki, plakaty, programy teatralne, dokumentacje wykopalisk, wystaw i spektakli, piękne, wirujące lalki, spektakle Teatru Ósmego Dnia i unikatowe filmy można obejrzeć w wirtualnym muzeum historii Poznania CYRYL, jedynym takim muzeum w Polsce. Wkrótce CYRYL złoży wizytę w Śremie.

W XXI wiek świat wszedł z olbrzymim dziedzictwem kulturowym utrwalone i przechowywane na tradycyjnych nośnikach – na papierze, negatywach, taśmach magnetofonowych i kasetach VHS. Ten gigantyczny zbiór dokumentów historycznych wymaga nie tylko zabezpieczenia przed zniszczeniem i utratą, ale także nowej formy archiwizowania ułatwiającej dostęp współczesnemu odbiorcy. Zdobyte cywilizacyjne umożliwiają przeniesienie materiału analogowego na nośniki cyfrowe bez naruszania integralności dokumentu historycznego i jego udostępnienie w porównywalnej, a nawet lepszej jakości. Digitalizacja archiwaliów stała się jednym z priorytetów w ramach programów Unii Europejskiej w obszarze kultury i dziedzictwa kulturowego oraz w ramach programów rządowych poszczególnych państw w skład UE wchodzących. W ten sposób powstają wirtualne muzea i biblioteki, do których dostęp może mieć każdy, gdziekolwiek się znajduje. Takim programem, w ramach którego powstało wirtualne muzeum historii Poznania CYRYL, był program Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego KULTURA+. Program się skończył, a CYRYL trwa i ma się coraz lepiej.

CYRYL jest portalem internetowym gromadzącym dokumenty związane z historią Poznania przechowywane w archiwach 25 poznańskich instytucji (teatry, muzea, MTP, galerie, Urząd Miasta Poznania, poznański oddział PAN, Archiwum

Państwowe, szkoły, towarzystwa) i prywatnych zbiorach poznaniaków. Materiały, uporządkowane i prezentowane w kolekcjach tematycznych, składają się na swego rodzaju interaktywną ekspozycję, wirtualne muzeum, w którym znajdują się archiwalia dotąd rozproszone, często do tej pory niedostępne i nigdzie nie publikowane. Na portalu cyryl.poznan.pl można już obejrzeć prawie 45 tys. obiektów, przede wszystkim fotografii. Coraz większa część zbiorów pochodzi z archiwów prywatnych, dotąd znanych jedynie rodzinie właściciela. To głównie zdjęcia, których istnienie jest niekiedy niespodzianką nawet dla pracowników profesjonalnych instytucji zajmujących się gromadzeniem poznaniaków. CYRYL jest jedynym miejscem w sieci, w którym znajduje się kilkaset dawnych planów miasta przechowywanych w Archiwum Państwowym w Poznaniu, wielka gratka dla miłośników lokalnej kartografii. Portal prezentuje także świetne materiały z wykopalisk prowadzonych w Poznaniu od końca XIX wieku. Warto zobaczyć, co tysiąc lat temu znajdowało się pod osiedlowym blokiem. Niedługo zakończy się proces digitalizacji zbiorów miejskiego konserwatora zabytków w Poznaniu, kilkunastu tysięcy fotografii ulic, placów i zabytków Poznania gromadzonych od dziesięcioleci i dotąd dostępnych w bardzo ograniczonym zakresie. Długo będzie jeszcze trwała cyfryzacja dokumentacji powojennej odbudowy Starego Miasta, fenomenalnych materiałów przechowywanych w Urzędzie Miasta Poznania. Digitalizacja obiektów przestrzennych umożliwiła pokazanie w CYRYLU archiwalnych lalek ze spektakli Teatru Animacji (dawniej Teatru Marcinek). Laleczki wirują wokół własnej osi, ukazując detale kunsztownej pracy znanych artystów, którzy z teatrem przed laty współpracowali. Wielką atrakcją dla setek byłych

chórzystów Stuligrosza są filmy z tournée chóru do Stanów Zjednoczonych w latach 60. XX wieku, a dla fanów teatru alternatywnego – próby i spektakle z pierwszych lat działalności Ósemek.

CYRYL sukcesywnie powiększa swoją ofertę. Prawie codziennie umieszczamy na portalu nowe kolekcje. Na publikację czekają znakomite zdjęcia Poznania z lat 60. i 80., plakaty teatralne i świetne plakaty targowe, filmy, dokumentacja setek poznańskich neonów, zdjęcia wewnątrz Zamku Cesarskiego z początku wieku i tysiące innych materiałów. Do końca roku CYRYL udostępni na portalu kolejnych 10 tys. obiektów. A potem poprowadzi internautę ścieżkami tematycznymi, czyli zintegrowanymi cyklami materiałów dotyczącymi np. ulicy, budynku, osoby czy wydarzenia z historii miasta. CYRYL jeszcze długo będzie budował i tworzył swoje oblicze i zmieniał się wraz z nabytkami pozyskiwanymi z coraz większej liczby źródeł i rozwojem wirtualnego świata. Nie będzie z tym problemu, ponieważ jest coraz bardziej rozpoznawalny. Poznaniacy już wiedzą, że mają takie muzeum, jakiego nie ma mieszkaniec żadnego polskiego miasta. I chętnie przynoszą do pracowni swoje prywatne zbiory. CYRYL może przyciągnąć do Poznania nowych

entuzjastów lepiej niż niejedna impreza, a poznaniakom pozwala lepiej poznać, zrozumieć i polubić swoje miasto.

Historia CYRYLA rozpoczęła się w 2011 roku, kiedy poznański fotograf Stanisław Wiktor przez lata współpracujący z „Gazetą Poznańską” przyniósł do redakcji „Kroniki Miasta Poznania”, której sekretarzem wówczas byłam, tekturową walizkę, a w niej kilkanaście tysięcy negatywów z lat 70. i 80. XX wieku. Dokumentują epokę PRL nie tylko w Poznaniu, ale także w dawnym województwie poznańskim. Także w Śremie. Do tej pory opublikowaliśmy na CYRYLU kilka tysięcy poznańskich fotografii Wiktora. A teraz, być może w ramach kolekcji czasowej, a być może już na stałe, pokażemy zdjęcia śremskie: odlewnię, czyny społeczne, budowę dworca PKS i zbiór, który reporter nazwał śremskimi widokami. CYRYL Śrem lubi i ceni jego kulturalną, a przede wszystkim społeczną działalność. W Śremie mieszka i pracuje bardzo wielu poznaniaków, a setki śremskich uczniów uczyło się, uczy lub pracuje w Poznaniu. Trudno o lepszą rekomendację do stworzenia śremskiej kolekcji wirtualnej muzeum historii Poznania.

Dnuta KSIĄŻKIEWICZ-BARTKOWIAK

Podpis zdjęcia



Hieronim Rumianowski

Ludzie, których spotkałem

W ciągu ćwierć wieku wiele razy odwiedziłem Mogilno, miasto, w którym pracował i został pochowany ks. Piotr Wawrzyniak. Poznałem tam liczne grono sympatycznych gościnnych osób, wśród nich: wóldarzy gminy i powiatu, księży, nauczycieli, dyrektorów szkół. Sporo z nich przyjeżdżało też do Śremu, miałem więc przyjemność gościć ich w szkole. We wdzięcznej pamięci zachowuję wszystkich. Jednak pragnę w sposób szczególny wspomnieć o Kimś, z kim współpracuję od kilkunastu lat.

Hieronim Rumianowski jest dyrektorem Gimnazjum im. ks. Piotra Wawrzyniaka w Mogilnie, nauczycielem historii. Poznaliśmy się w czasie, gdy powstawały szkoły gimnazjalne. Tworząc od podstaw swoje gimnazja dzieliiliśmy się pomysłami na tworzenie szkolnych programów, wymienialiśmy doświadczenia z oglądu skuteczności ich funkcjonowania. Współpraca szkół mających tego samego Patrona jest czymś oczywistym, więc można powiedzieć, że nasze kontakty zaczęły się niejako „z urzędu”. Jednak szybko uświadomiliśmy sobie, że nadając na tych samych falach bardzo dobrze się rozumiemy. Stało się jasne, że współpraca nie ograniczy się tylko do form oficjalnych – wizyt z okazji rocznic, udziału w szkolnych i miejskich uroczystościach. Uczniowie śremskiej „Dwójki” bywali wiele razy w Mogilnie. Od pierwszych lat działalności gimnazjum organizowaliśmy, w ramach zajęć integracyjnych, wyjazdy pierwszoklasistów do miejsc związanych z życiem Patrona szkoły. Stałym przystankiem w Mogilnie było gimnazjum – spotkania z rówieśnikami i „obowiązkowe” smaczne obiady, bez których Dyrektor Rumianowski nie wyobrażał sobie naszego tam pobytu. Byliśmy tam z naszymi uczniami w chwilach historycznych

dla mogileńskich przyjaciół, jak nadanie szkole imienia i sztandaru. Rzecz jasna – oni bywali na takich samych uroczystościach u nas. I – tak samo gimnazjaliści mogileńscy odwiedzali w Śremie miejsca działalności ks. P. Wawrzyniaka. Takie niesztampowe „lekcje” były jednym ze szczególnie ważnych elementów naszych szkolnych programów wychowawczych.

Niezwykle cenię sobie to, że te wspólne działania nie skończyły się, gdy zakończyłem pracę w szkole. (Mówi, że zazdrości mi emerytury. No cóż Hirku, trzeba się było wcześniej urodzić...). Hieronim to człowiek ze społecznikowską pasją. Bardzo aktywnie działa w Europejskim Centrum Spotkań „Wojciech-Adalbert” w Mogilnie. Inicjuje, organizuje wiele działań o charakterze kulturalnym i edukacyjnym: koncerty, konkursy, prelekcje itp. A skoro ja podobnie działałem w Towarzystwie im. Ks. Piotra Wawrzyniaka w Śremie, to mamy nowe pole współpracy i jej efekty!

Przykłady? W lutym 2015 r. odbył się w mogileńskim kościele św. Jana koncert „Księdzu Piotrowi na urodziny”. Śpiewała Roxana Tutaj. Moim „zadaniem” była poświęcona P. Wawrzyniakowi, poprzedzająca koncert prelekcja. Przenikliwie zimny wieczór (akurat wtedy przydarzyła się prawdziwa zima). Ziąb w dostojnej zabytkowej świątyni, a mimo to kościelne ławki wypełnione przez wspañałą publiczność, która wytrwała półtorej godziny (to już zasługa Roxany). Zimowa aura została zrekompensowana gorącym przyjęciem, serdeczną gościnnością, rodzinną atmosferą. Rzecz jasna, nie byłoby tego wydarzenia bez zaangażowania i organizacyjnej sprawności Pana Hieronima.

A w Śremie? Gimnazjaliści z Mogilna uczestniczą w corocznych, poświęconych ks. Wawrzyniakowi, organizowanych przez nasze Towarzystwo międzyszkolnych konkursach „Król Czynu”. Zadebiutowali w 2015 r. i w trzech kolejnych edycjach konkursu 5 razy zameldowali się w finałowej piątce, 2-krotnie przy tym zwyciężając! Obecność Dyrektora Rumianowskiego na konkursach jest kolejnym dowodem, że chce mu się chcieć. Chociaż... zdarzyło mu się publicznie powiedzieć, że przyjechał do nas po to, żeby się z mną spotkać i posłuchać śpiewającej Roxany. No to się porobiło!

Co dzisiaj? Dyrektor jest zaambarasowany, obarczony pracami związanymi z oświatową kontrrewolucją likwidującą gimnazja. Nie zazdroścuję. Wiem, co może czuć, gdy stworzona i kierowana przez niego, osiągnąca z roku na rok znaczące sukcesy szkoła musi kończyć działalność... Myślę, że dzięki swojemu spokojowi ten pogodny fa-

cet poradzi sobie z wszelakimi trudnościami. I nie zapomni, że wszystko kiedyś się kończy.

Hieronim. Sporo lat minęło, piękne wspomnienia pozostały. Ale – nie tylko przeszłość, bo nadal się spotykamy i mam nadzieję, że jeszcze zdołamy razem „coś” zrealizować.

Leszek Mańkowski
Foto: zbiory autora

Hieronim Rumianowski z Roxaną Tutaj



Wspomnienia z podwórza

Śrem to moje rodzinne miasto. Tu się urodziłam i wychowałam. Mieszkałam w trzecim tzw. „urzędniczym domu” przy ul. Poznańskiej 24. Z pierwszym i drugim blokiem łączyła nas potężna, ręcznie kuta, żelazna brama, na której się woziliśmy i z którą związanych jest parę „nieszczęśliwych wypadków”. Ale co tam! Mieliśmy wiatr we włosach i dużo radości. Pozostałe domy to nr 20 i 22. W sumie mieszkało w nich 29

rodzin i mnóstwo dzieciaków. Nasze mieszkania były duże, wysokie i piękne. Większość rodzin miała ogródki, w których hodowano warzywa, kwiaty, krzewy i drzewa owocowe. Stały też altanki, w których nasi dziadkowie grali w karty oraz szopki z królikami i małymi wybiegami, w których gdakały kury, piały koguty i kwiczały świnki. W jednej z większych altanek odbywały się tzw. „bumsy”, czyli tańce przy muzyce. Nie wszyscy

Siedzą od lewej: Krystyna Urbaniak, Janina Nina Urbaniak, Aleksandra Ola Łuszczewska, Maria Adamczewska, Ryszard Cofa. Stoją od lewej: Hanna Jurga, Maria Urbaniak, Zofia Kaczor, Mikołaj Witczak, na ramionach Andrzej Piotrowski, Maria Cof. 1950 r. Fot.: P. Perliński





Stoją od lewej: Andrzej Piotrowski, Maria Coffta, Danuta Górna, Krystyna Urbaniak, Zofia Kaczor, Andrzej Mońko.
Siedzą od lewej: Anna Mróz, Bogumiła Kaczor, Maria Adamczewska. 1956r. Fot. P. Perliński

możliśmy w nich uczestniczyć, gdyż „smarkaterii” nie wpuszczano.

Miejscem zabaw dla wszystkich było duże podwórze, a na nim od samego rana my – szczęśliwe dzieciaki. Graliśmy w klasy, dwa ognie, helską, berka, woziliśmy się na bramie co było bardzo niebezpieczne, chowaliśmy się w piwnicach. Szczególnym strachem napawały nas duże i ciemne korytarze piwnic bloku nr 20. Później nastała moda na hula-hop, który opanowaliśmy do perfekcji. Jednak najczęściej radości sprawiały nam występy w teatrzyku, które organizowała koleżanka Ola. Popisywaliśmy się w nim wierszykami, piosenkami i tańcami. Scena znajdowała się w głębi, między pierwszym a drugim blokiem, kurtynę robiliśmy z kocy, a widownią byli rodzice siedzący na krzesłach, które przynosiliśmy z domu. Oczywiście były rześiste oklaski i trochę „drobnych”, za które kupowaliśmy cukierki i całą ferajną szliśmy do parku i dzieliliśmy się nimi sprawiedliwie..

Pamiętam też białego, uroczego pieska pani Zosi, wskakiwał na murek przy drugim bloku i dokładnie go wylizywał, a my krzyczeliśmy „mój murek, mój murek”. Wtedy on głośno ujadał i rzucał się na nasze wyciągnięte rączki.

W moim domu mieszkał Jurek zwany przez nas Nunkiem. Zawsze chodził w krótkich spodenkach ale na galowe uroczystości ubierał się na galowo. Mój mały braciszek widząc go po raz pierwszy w długich spodniach prawie zaniemówił – nie wiedział czy mówić Nunek, czy Pan Nunek.

Natomiast w niedzielę nasze zabawy przybierały ton trochę łobuzerski, ale jakże ciekawy dla nas dzieciaków z miasta. Otóż na mszę do kościoła pofranciszkańskiego przyjeżdżali bryczkami okoliczni rolnicy i koniki przywiązywali do płotu ogrodnika pana G. Ach, co to była za radość! Bryczki piękne, koniki narowiste. Wsiadaliśmy do wybranej bryczki z okrzykami – hej wio! Wišta wio! Koniki ploszyły się, a my uciekałyśmy.



Spotkanie w Cafe Ole. 3 czerwca 2017 r. Fot. M. Kaczmarek

Chłopcy byli odważniejsi, jeździli po podwórku, a gdy niespodziewanie pojawił się właściciel, uciekali chowając się po piwnicach. Kolega Nunek i jego przyjaciele wypuścili się kiedyś jeszcze dalej – w stronę Mechlina. Jazda bardzo im się podobała ale zapomnieli że msza św. już się skończyła. W drodze powrotnej zauważyli przy szosie rolników trzymających baty. Na wysokości parku wyskoczyli w pędzie chowając się w krzaki, a koniki w biegu zatrzymywali właściciele.

Kolega Mikołaj i jego brat Kazimierz, na którego mówiliśmy Kajtek zorganizowali sprzęt do skoku wzwyż, a więc oprócz dziecięcych zabaw, starsi koledzy i koleżanki mogli rozwijać swoje umiejętności sportowe.

Podsumowując – dzieciństwo było wspaniałe. Owszem, zdarzały się kłótnie, ale krótkotrwałe. Szybko się godziliśmy nie angażując w to rodziców.

Rozjechaliśmy się po świecie i Polsce, ale od paru już lat spotykamy się co roku w Cafe Ole, pod hasłem „Spotkanie dzieci podwórkowych”. Z łezką w oku wspominamy nasze zabawy, psoty i przyjaźnie. W tym roku spotkaliśmy się 3 czerwca. Przyjechały koleżanki oraz koledzy z Warszawy, Gdańska, Poznania, Kalisza, Leszna i oczywiście byli też śremianie. Miedzy innymi nasza podwórkowa artystka Hania, która jest kopistką ikon i dzieł znanych malarzy.

To było jak zwykle wspaniałe spotkanie.

Krystyna KIERCZYŃSKA

My z tej samej ulicy

Śremskie fyrtle

Dzisiaj przypomnimy ulicę Rzeczną (obecnie Kościuszki), Janka Krasickiego (dzisiaj ks. Popiełuszki), Łąkową, Ogrodową i Akacją. Moimi rozmówcami będą mieszkańcy tego fyrtla Michalina Budyh i Grzegorz Jahns.

Urszula Ciesielska: Jak wspominacie swoją ulicę?

Grzegorz Jahns: Mieszkałem przy ulicy Rzeczonej, w małym domku sąsiadującym przez ulicę Łąkową z ogromną kamienicą, w której mieszkały rodziny Idaszewskich, Wałdowskich oraz lekarz Sura-Surzyński z rodziną. Córka pana Surzyńskiego Ania jak i mieszkająca przysąsiedniej ulicy Nina Dolniak znana teraz śremlanom jako Nina Szmyt, były bliskimi koleżankami mojej siostry Lucyny.

Michalina Budyh: Ja mieszkałam przy ulicy Łąkowej. Była to specyficzna uliczka, która za mojego dzieciństwa liczyła cztery domy po lewej stronie i jeden dom po prawej, w którym mieszkali Kasztelanowie, a dalej był jeden wielki ogród z dużym, drewnianym płotem. Wszyscy się znali, odwiedzali, taka jakby wielka rodzina. Idąc lewą stroną, zaraz za domem pana Grzegorza Jahnsa, miał kuźnię kowal Misiórny, za kowalem był mały domek z niskimi oknami, sięgającymi prawie chodnika (dom tego już nie ma), potem duży dom, w którym mieszkali Dolniakowie, Jakubowscy, Ławniczakowie, Wyszkowscy a za nim, jako czwarty, mój dom z 1889 roku (data widnieje na belce dachu). Na podwórku za domem, mój tato Stefan Konieczny miał warsztat, który przejął po swym ojcu Marcinie. Był to warsztat kołodziejski wykonujący wozy i powozy konne oraz różne części do nich.

G.J.: Pamiętam ten warsztat. Biegałem tam często i przyglądałem się pracy pana Koniecznego. Było to dla mnie, małego chłopca, fascynujące.

M.B.: Z biegiem czasu, gdy było mniejsze zapotrzebowanie na wozy, tato zaczął robić inne rzeczy w drewnie. Ponieważ dookoła było kilkupiekarzy, (Marciniak, Furmanek, Matysiak, Kałuża), robił drewniane łopaty służące do wkładania chleba do pieca, szlaki do bułek, szufle do zboża dla młynów. To wszystko wykańczał ręcznie. Gdy w sąsiedztwie powstała tkalnia, robił drewniane części do krosien, bijaki, toczne szpule do nici i różnej wielkości czótenka.

U.C.: A na twojej ulicy jakie były warsztaty lub sklepy?

G.J.: Sklep, który odwiedzałem najczęściej przed rozpoczęciem roku szkolnego, był sklep papierniczy, który prowadziła pani Liberska. Kupowałem tam zeszyty, ołówki i inne przybory szkolne. Za sklepem papierniczym była Praktyczna Pani. Był tu zakład fryzjerski, w którym pracowała moja siostra, mieściła się też wypożyczalnia sprzętu gospodarstwa domowego. Następnie idąc w kierunku Watry, był warsztat blacharski pana Kuntze. Wyrabiano tu różne przedmioty z blachy oraz lutowano dziurawe naczynia metalowe. Dalej były dwa małe domki. W jednym z nich mieściła się cukiernia pana Romaniaka.

U.C.: Pamiętam. Chodziłam do jednej klasy z jego córką, która często zapraszała mnie do sklepu. Objadałam się wtedy ciastkami i innymi łakociami. Pamiętam też poukładane za szybą wystawową różne ciastka oraz różowe marcepanowe świnki, a w okresie wielkanocnym żółte kurczaczki. Latem największe powodzenie miały lody.

G.J.: Zaraz za Romaniakiem miał warsztat wikliniarz. Produkował koszyki, miotły, a jesienią największe wzięcie miały kosze na ziemniaki. Przy mojej ulicy była też piekarnia pana Marciniaka, do



Z lewej: Stefan Konieczny (po prawej) z czeladnikiem przed swoim warształem. Lata 30. XX w.
Z prawej: mały Grzesiu na swoim pierwszym rowerku.

której z okazji różnych świąt nosiło się do wypieczenia blachy z ciastem. Na ogół były to strucle, babki i placki drożdżowe z kruszanką. Niosąc ciasto do wypieku wydlubywałem słodkie kruszyny. Po wypieczeniu ciasto wyglądało jak krajobraz księżycowy z dolinami i kraterami po wygasłych wulkanach. Mama nie była zadowolona i gdy nie zdążyłem się ulotnić, dostawałem po łapach.

U.C.: O ile wiem, to waszym „rewirem” była też ul. Janka Krasickiego, co się na niej znajdowało?

G.J.: Na narożniku ulicy Walki Młodych i Krasickiego stał duży budynek, w którym mieściła się restauracja Mostowa. Była to jak na te czasy bardzo popularna i dobra restauracja (obecnie jest tutaj restauracja Polka). Obok, oddzielne wejście prowadziło do tzw. „operetki”. Była to pijalnia piwa i innych napojów wysokokowych. Zawsze słyszał stąd było krzyki i głośnie śpiewy stąd nazwa operetka, często dochodziło też do rękoczynów. Na podwórzu za Mostową miał warsztat stolarski pan Wichłacz, a pan Ślżzak naprawiał wagi.

M.B.: Na początku ulicy po lewej stronie był dość duży budynek, w którym mieściła się tkalnia. Produkowano tu tkaniny dekoracyjne typu bieżniki, serwetki, narzuty na tapczany i fotele. Około 85% załogi stanowiły kobiety. Dalej za tkalnią był Klub Maciuś. Założony w 1968 roku, zakończył swą działalność w 1994 r. W latach siedemdziesiątych był on w Śremie jedynym ośrodkiem kulturalnym o charakterze klubowym. Organizowano tu konkursy, prelekcje, różne wystawy, kursy itp.

G.J.: Można tu było m.in. posłuchać dobrej muzyki z płyt, potaćczyć (organizowano kursy tańca towarzyskiego). Spotkania odbywały się raz w ty-

godniu i chętnie przychodziłem tu z kolegami żeby posłuchać muzyki z płyt winylowych.

U.C.: Po zakończeniu działalności „Maciusia”, w tym budynku mieściła się przez jakiś czas wypożyczalnia sprzętu, potem sprzedaż mebli holenderskich, obecnie mieści się sklep mebli tapicerowanych. A co było po prawej stronie ulicy?

M.B.: Po prawej stronie ulicy były podwórka domów ulicy Łąkowej. Na wprost tkalni miał swoją kuźnię pan Misiórny. Za kuźnią były ogrody, dalej rozległy ogród należący do rzeźni (do samej rzeźni wchodziło się od ulicy Ogrodowej, tę ulicę i jej okolice poznamy w innym odcinku – przypis U.C.). Jako następny był, i jest nadal dom mieszkalny rodziny Szczepskich, za którym na skrzyżowaniu Janka Krasickiego i Polnej stał młyn, którego właścicielem był Sylwester Szczepski. Pamiętam turkot kół wozów wiozących mąkę do młyna. Ulica wybrukowana była tzw. kocimi łbami i przejeżdżające wozy czyniły straszny hałas. (Młyn został uruchomiony w 1905 roku i do 1949 roku był własnością Szczepskich. Po tym roku został upaństwowiony. Na przestrzeni lat zmieniał właścicieli, zaprzestał też swojej właściwej działalności stopniowo ulegając niszczeniu. Mieścił się tam skład farb i lakierów, składnica mebli, hurtownia materiałów budowlanych, obecnie jest piękny blok mieszkalny). Naprzeciw młyna była tzw. kaszarnia, gdzie produkowano kaszę, otręby. Zaciekawieni biegliśmy do rampy, pod którą podjeżdżali młynarze, ale byliśmy zawsze przeganiani ze względu na nasze bezpieczeństwo.

U.C.: No, można powiedzieć, że pod względem różnorodności rzemiosła to wasz fyrtel był niezwykle bogaty. A jak wyglądały wasze pierwsze zabawy dziecięce?

G.J.: We wczesnym dzieciństwie moją ulubioną zabawą była jazda na rowerku. Rodziców nie stać było na zakup nowego w sklepie, więc pierwszy rowerek skonstruował w całości mój tato. Ależ to była radość! Wygrywałem na nim wszystkie zawody, jakie PSS "Społem" organizowało dla dzieci na stadionie w parku. Do dzisiaj jazda na rowerze sprawia mi ogromną przyjemność.

U.C.: Mieliście kolegów, rówieśników, z którymi się bawiliście?

G.J.: Tak, przez cały rok nie brakowało nam rozrywek, które sami sobie organizowaliśmy. Najczęściej miejscem zabaw był plac za rzeźnią miejską. Tam graliśmy w palanta i helskę. W czasie wakacji łowiliśmy ryby nad Wartą blisko mostu. Chodziliśmy w tzw. topólki (wysokie topole za gospodarstwem pana Bajera), gdzie bawiliśmy się w podchody, a z tzw. "Łysej Góry" prowadziliśmy obserwację całego terenu. Najwięcej atrakcji przynosiła zima, lepienie bałwanów, śnieżne wojny, sanki, łyżwy. Zjeżdżaliśmy na sankach z wału w kierunku Warty. Bywało, że w bardzo mroźne zimy zamarzała, wtedy można było przejść po niej na ulicę Nadbrzeżną i wrócić.

U.C.: Oj pamiętam takie przejście! Chodziłam do liceum i wraz z koleżanką postanowiłyśmy przejść zamarznąłą Wartę. Bałam się ale postawiłyśmy sobie punkt honoru (a raczej głupoty), że przejdziemy tam i z powrotem. Dzisiaj, gdy to wspominamy, robi nam się gorąco.

G.J.: Organizowaliśmy też kuligi. Łączyliśmy sanki i mocowaliśmy do przyczepy pana Górnego. Robiliśmy to bez wiedzy rodziców i właściciela traktora. Gdy nas złapał na gorącym uczynku, uciekaliśmy w popłochu często gubiąc sanki. W okresie Świąt Bożego Narodzenia chodziliśmy po ulicy Rzecznej i Łąkowej z szopką. Była wykonana z kartonu, miała kształt stajenki. Wewnątrz, jak w każdej szopce, była Święta Rodzina, anioły, pasterze i owieczki. Chodziliśmy w trójkę. Jeden wieszał szopkę na szyi i wszyscy śpiewaliśmy kolędy. Cieszyliśmy się ze zdobytych groszy, które były potem sprawiedliwie dzielone. Tradycyjnie, całą rodziną chodziliśmy na Pasterkę do kościoła

farnego. Było to dla nas dzieciaków ogromne przeżycie.

U.C.: Z twoich dotychczasowych opowiadań wynika, że byłeś grzecznym i spokojnym chłopcem. Czy nigdy nie psociłeś?

G.J.: Różnie to bywało. Miałem serdecznego kolegę Genka, z którym często bawiłem się na jego podwórku, na które wchodziło się od ulicy Akacjowej. W podwórku znajdował się zakład krawiecki, w którym kobiety szyły ubrania robocze. Gdy wychodziły, by skorzystać z WC, podkradałyśmy się i smarowałyśmy kłamki smołą, po czym uciekaliśmy. Podejrzenia oczywiście zawsze padały na nas. Innym razem wchodziliśmy na strych tkalni i kamyczkami z procy strzelaliśmy w blachy znajdujące się na podwórku kowala Misiórnego. Pan Misiórny wychodził z kuźni, rozglądał się i nie widząc nic podejrzanego, wracał do pracy. I tak sytuacja powtarzała się kilka razy.

U.C.: Stoimy właśnie na ulicy Akacjowej, przed podwórkiem na którym psociłeś. Jest tu teraz na pewno inaczej, ale mamy piękny widok na bocianie gniazdo, które znajduje się na kominie piekarni Matysiaka.

G.J.: Tak. Bociany przylatują tu co roku i są niewątpliwie atrakcją tej części miasta.

U.C.: Podobno bociany gnieźdzą się tam, gdzie mieszkali i mieszkają dobrzy ludzie. A ty Michna jakie wspominasz zabawy?

M.B.: Głównym miejscem zabaw był duży plac za rzeźnią. Rosły tam akacje, których zapach rozchodził się po okolicy. Często zdarzało się, że jedliśmy kwiaty akacji które miały słodki, miodny smak. Jak wszystkie dziewczynki w tym wieku bawiłyśmy się piłką, skakanką, w chowanego, chodziliśmy na podwórko pana Misiórnego patrzeć jak podkuwają konie, patrzyliśmy jak do rzeźni przyjeżdżał transport zwierząt. Przerazał nas kwik świni i odgłosy bydła. W niedzielne popołudnie całą rodziną wybieraliśmy się na spacer wzdłuż wału, aż do pana Brajera a nieraz i dalej, gdzie był las sosnowy i tzw. topólki. W tym lasku było pełnorydzów, a na wale mnóstwo podrózniczek. Po nazbieraniu obieraliśmy grzyby całą rodziną a potem była pyszna kolacja. Pamiętam też pranie i suszenie pościeli. Pościeli były białe, lniane lub płócienne. Pranie było oczywiście ręczne. Po pra-



Grzegorz Jahns przed swym rodzinnym domem, 2017 r.

niu w wielkim kotle gotowano. Po wygotowaniu chodziło się z praniem nad Wartę, na trawie rozkładało się prześcieradła i powłóczki, polewało wodą z polewaczki, czekało się aż wyschną, drugi raz polewano wodą, żeby się wybieliło. Takie pościele były śnieżno-białe.

U.C.: Co teraz, po latach czujecie, gdy odwiedzacie swoje dawne strony?

G.J.: Gdy założyłem rodzinę, od 1976 roku mieszkam na Jezioranach. Jednak coś mnie ciągnęło do miasta i co niedzielę tam wracałem. Lubiłem z żoną, a później z dziećmi, spacerować po nadwarciańskich wałach. Nadal co roku chodzę na Pasterkę do kościoła farnego, spotykam dawnych kolegów, chociaż wielu z nich już nie ma. Nie ma też atmosfery tamtych lat i pozostają już tylko wspomnienia. Rodzinny dom został sprzedany i mieszkają w nim inni ludzie.

M.B.: Często odwiedzam mój rodzinny dom, bo mieszka teraz w nim moja siostra. Gdy do niego wchodzę, jestem wzruszona, bo odczuwam dobro i ciepło jakie zawsze tu panowało i które z niego wyniosłam.

Z Michaliną BUDYCH i Grzegorzem JAHNSEM
rozmawiała Urszula CIESIELSKA

Nie samym chlebem

Nie samym chlebem

Lato. Czas na facecje i dykteryjki, jak to kiedyś pewien młodzieniec zwrócił się do mojej, równie młodej wówczas bratowej. Ale, dajmy mu spokój. Dość się z niego naśmialiśmy w zamierzchłej przeszłości. Tak więc, lato. Pogoda interesująca, choć nie zawsze przyjazna. Można podzielić relaks na rekreację powietrzną i domową, jeśli oczywiście mamy wolne. A nawet jeśli nie mamy wolnego – dzień długi, jest co zagospodarowywać. Można na przykład obserwować żywioła z oknem, bo przetaczają się przez nas apokaliptyczne burze, ulewy i wichury. W naszym wiejskim domu jest pewnie ciekawiej niż w mieście, bo żywioł hula sobie bez żadnych ograniczeń. Odkryliśmy przy okazji, w ilu miejscach nasz strop jest nieszczelny, na szczęście mamy wystarczającą liczbę misek. Najbardziej zadziwił mnie strumyk, który popłynął z sufitu wprost na półkę z książkami. Zadziwił, bo akurat w tym miejscu rozum wskazywał pełne bezpieczeństwo. Cóż, dostało się trochę prześlawniej *Biologii* Villeego, zanim spoczęło na niej zielone, plastikowe naczynie. Ta książka nie musi być piękna, wystarczy, że ma w sobie coś. Nie, żeby ją przeczytała. Nie, nie. Chociaż przyznam, że z szacunku do pani od biologii w czwartej klasie liceum, zapoznałam się z rozdziałem o genetyce. Na tym koniec. Wybitny ten podręcznik należy do mojego syna, który przezrok udawał, że nauczy się tego przedmiotu. Przedtem należał do mojego brata, który przez dłuższy moment sądził, że zostanie lekarzem. Został instrumentalistą i kompozytorem. Hm. Podobnie mój syn. To nie są odosobnione przypadki, jak z ramion medycyny wydostają się artyści.

Weźmy takiego Boya. Studiował medycynę od 1892 do 1901 roku i został lekarzem. Pracował jako pediatra w krakowskim szpitalu przez kilka lat,

aż wyruszył do Paryża zrobić habilitację i... zachłysnął się francuską literaturą. Tyle w temacie medycyny Tadeusza Żeleńskiego. Warto sobie uświadomić, że gdyby się nie zachłysnął, być może Molier, Wolter, Balzac, Proust, Stendhal, Musset, Verlaine – to tylko część autorów! – dotarli by do nas zbyt późno. Prawdę mówiąc, Molier dotarł bardzo późno, bo po prawie trzystu latach. W jednej ze swoich recenzji teatralnych Boy zwraca uwagę, że przodkom naszym jedynie się zdawało, że znają sztuki Moliera, bowiem rodzimi dramaturdzy średniego lotu pisali swoje sztuki w oparciu o nie do końca zrozumianą przez nich Molierowską intrygę. Nie ukrywam, że zajrzałam na Wikipedię, by sprawdzić swoją wiedzę o Tadeuszu Żeleńskim, i rozmiar jego translatorskiego dzieła mnie poraził. Nasuwa się ten sam wniosek, co amerykańskim krytykom literackim w związku ze Stanisławem Lemem – tego nie mógł zrobić jeden człowiek! A jednak.

Przy tym, nie tylko przekładał tom po tomie najwybitniejszą literaturę piękną, ale też tworzył, pisał recenzje teatralne (to po wielkiej wojnie stanowiło jego utrzymanie), a także eseje i poważniejsze traktaty o literaturze i jej twórcach. Nie wiele przeczytałam z dzieł autorskich Boya. Pamiętam, że jego *Obrachunki fredrowskie* były dla mnie objawieniem. *Zza Zemsty*, *Ślubów panińskich*, *Dam i huzarów* wychynał człowiek. Padło tam bardzo ciekawe stwierdzenie o związku długości życia pisarza z dostępnym po nim materiałem źródłowym – dzienniki, listy itp. Boy odkrył mianowicie, że Aleksander Fredro żył tak długo (83 lata), iż zdążył sam zniszczyć wszystko, co uważał za w najmniejszym stopniu nieodpowiednie do przekazania potomnym. Hrabia w każdym calu. W każdym razie ta ostrożna posta-

wa naszego geniusza komedii sprawiła i nadal sprawia kłopot jego biografom. Boy też zwraca uwagę, jak niewłaściwe było stosowanie wobec Fredry określenia „polski Moliere”, zważywszy – o czym już wyżej – że wówczas nikt Moliera nie znał. Wracając, do „podmiotu”, wakacyjne miesiące warto poświęcić na poczytanie Tadeusza Żeleńskiego, tym bardziej że pióro miał lekkie i dowcipne. Jest pewien kłopot z dostępem do wydań papierowych, ale istnieje szansa, że biblioteki nie wszystko jeszcze wyrzuciły, robiąc miejsce na nowe „dzieła” literatury kobiecej. Obecnie nastąpił wysyp e-booków Boyowskich, chociaż zapewne nie każdy lubi czytać z ekranu. Ja osobiście dla przyjemności tego nie robię. Dziwna rzecz. Do 2011 roku, tj. do upłynięcia 70 lat od śmierci autora, prawa autorskie do jego dzieł były nieustalone i panowała cisza wydawnicza. Spodziewałam się istnej eksplozji po tej magicznej dacie, a tu nic nie słychać. Może zresztą to ja nic nie słyszę, a książkami zalane są twórczością Żeleńskiego. Proszę sprawdzić.

Tutaj, choć doprawdy nie chciałabym psuć nastroju, nie umiem nie wspomnieć o tragicznej śmierci naszego geniusza. Po wybuchu II wojny światowej przeniósł się do Lwowa, gdzie jako tako radził sobie z sowieckim okupantem. Wkrótce po wkroczeniu do Lwowa Niemców, w nocy z 3 na 4 lipca 1941 roku został rozstrzelany wraz z grupą polskich profesorów. Jesienią 1943 roku hitlerowcy, którzy – być może po doświadczeniach katyńskich – postanowili zatrzeć ślady masowego mordu, ekshumowali ciała i skremowali. To ciekawe, Rosjanie bali się naszych oficerów, Niemcy – naszych intelektualistów. Nie. Nie będziemy teraz o tym myśleć. Czasem trzeba wziąć urlop od poważnych spraw. Wróćmy lepiej do naszych lekarzy, którzy – jak się okazało – powołanie mieli zupełnie inne.

Z wiosną (1891) ukończyłem moje studia wiedeńskie i przez Paryż wróciliśmy do Londynu. W Paryżu zatrzymaliśmy się kilka dni, gdyż chciałem zaznajomić się z Laudoltem, najślynniejszym okulistą paryskim tego czasu. Znalazłszy się w Londynie, czuliśmy oboje z żoną, że nadeszła chwila stanowczej walki z losem, która miała zadecydować o całym naszym życiu. [...] Zamieszkaliśmy przy Montagne Place, skąd było niedaleko do



dr Tadeusz Boy-Żeleński, 1894 r.
Rys. Stanisław Wyspiański

dzielnicy lekarzy specjalistów. Wiedząc, że wielu słynnych okulistów nie może podołać nawałowi pracy, postanowiłem na razie wynająć i urządzić dwa pokoje, gdzie bym przyjmował pacjentów przysyłanych przez innych okulistów. Odpowiedni lokal znalazłem tuż przy Harley Street za sto dwadzieścia funtów rocznie. Jeden pokój urządziłem jako pokój przyjęć, a drugi jako poczekalnię. Niestety wkrótce przekonałem się, że prawdziwą poczekalnią był mój pokój przyjęć. Lecz w rezultacie nie żałuję tego. Codziennie rano około dziesiątej maszerowałem do swojej siedziby zawodowej, gdzie czekałem cierpliwie na pacjentów do jakiejś trzeciej lub czwartej. Dzięki zupełnej ciszy, której nie przerwał ani razu dzwonek pacjenta, mogłem ten cały czas poświęcić mej pracy literackiej; toteż jedynym rezultatem, z jakim wracałem do domu, był plik zapisanych kartek. Istotnie trudno było o bardziej idealne warunki do pracy i tak długo, jak długo pacjenci się nie pokazywali, miałem sposobność wydoskonalenia mojego stylu.

[Jerzy Gronau, *Wędrówki po bibliografii Sir Arthura Conan Doyle'a*, Kraków 2005]



dr Arthur Conan Doyle, 1893r. Fot. Herbert Rose

Hm. Nie wiem, czy w końcu doktorowi Conan Doyle udało się kogoś wyleczyć. Z całą pewnością zaraz po opisywanym okresie, nie musiał kontynuować praktyki okulistycznej, by żyć. W 1891 roku miał już na koncie dwie wydane nowele: *Studium w szkarłacie* (grudzień 1887) i *Znak czterech* (luty 1890). Określenie „nowela” nie przystaje do dzisiejszych standardów, jednakże to był główny powód kłopotów wydawniczych doktora Arthura. Jego prace były za długie na opowiadanie i za krótkie na powieść. Pierwszą zaryzykowała wydać firma Ward, Lock And Co., specjalizująca się w taniej sensacji, nabywszy prawa autorskie za 25 funtów. Jak twierdzi Conan Doyle, było to jego jedyne wynagrodzenie za *Studium w szkarłacie*. Ponoć w dzisiejszych realiach kwota ta to 2,5 tysiąca dolarów, czyli naprawdę niewiele za narodziny postaci, którą – ośmielę się zaryzykować – zna każdy człowiek na Ziemi. *Studium w szkarłacie* było też, zupełnie przypadkowo, moim pierwszym zetknięciem z Mr Sherlockiem Holmesem, co prawda nie w tym samym czasie. Co ważne dla Conan Doyle’a, w tymże roku 1891 roku od stycznia zaczął ukazywać się magazyn „Strand”, mie-

sięcznik, w którym zamieszczano opowiadania, artykuły z życia wyższych sfer tudzież opowieści podróżnicze. Co ważne dla „Stranda”, od lipca tego roku rozpoczął się w gazecie triumfalny cykl opowiadań *Przygody Sherlocka Holmesa*, który cieszył się popularnością oszałamiającą.

Geniusz Conan Doyle’a był zupełnie innego rodzaju niż geniusz Boya-Żeleńskiego. Sir Arthur nie był intelektualistą ani specjalnym erudytą, za to stworzył postać, która stała się bardziej realna niż on sam. Dość szybko zaczęło go to irytować, tym bardziej że od samych „narodzin” Holmesa rysuje się pewna ironia autora w stosunku do swego bohatera. Już w *Studium w szkarłacie*, gdy doktor (!) John Watson poznaje Holmesa, ten prostodusznie wyznaje, że nie ma żadnej innej wiedzy oprócz potrzebnej w jego pracy detektywa, w tym nie ma pojęcia m.in. o teorii kopernikańskiej i heliocentrycznym układzie planet. „His ignorance was as remarkable as his knowledge” [Jego ignorancja była równie nadzwyczajna co jego wiedza]. Pierwsze opowiadanie z cyklu *Przygód*, kończy się klęską wielkiego detektywa. *Skandal w Boheimii* nie nastąpił, lecz za sprawą wielkiego intelektu i wielkiego serca Irene Adler, o której Holmes już zawsze mówił The Woman, czyli z najwyższym szacunkiem.

Kryzys niechęci ujawnił się w całej pełni w piątym opowiadaniu. W listopadzie 1891 roku na łamach „Stranda” ukazało się opowiadanie *Pięć pestek pomarańczy*. Co mnie bawi najbardziej, jest to jedyne dzieło o Sherlocku Holmesie na liście naszych szkolnych lektur. Wydaje mi się to prawdziwym żartem z żartu, bowiem tu Conan Doyle potraktował szczególnie drwiąco swojego nieomylnego detektywa, a nawet samą intrygę. Mogę sobie nawet wyobrazić tę sytuację rygoru regularnej „produkcji” tekstu do gazety. W każdym razie, od samego początku opowiadania Holmes się myli, popełnia błędy i jest zbyt nonszalanski. Nie-spotykane wcześniej i później jest, że nie odgaduje, kto dzwoni do drzwi. Stwierdza, że to na pewno koleżanka pani Hudson, gospodyni Baker Street 221B. Tymczasem to klient. Klient opowiada nieprawdopodobną historię śmierci swojego stryja, następnie ojca, który odziedziczył po stryju posiadłość i tam się przeniósł. Opuszcza lokum naszych dzentelmenów i nie dociera do domu. Ginie po

THE STRAND MAGAZINE.



"HOLMES," I CRIED, "YOU ARE TOO LATE."

Pięć pestek pomarańczy w „The Strand Magazine”, listopad 1891 r. Ilustracja Sidney'a Pageta

drodze w okolicznościach niewyjaśnionych, o czym Watson dowiaduje się nazajutrz z gazety. „Holmes! – krzyknąłem. – Spóźniłeś się!”. Owszem, spóźnił się, lecz zagadkę rozwiązał z pomocą – Ha! – encyklopedii. Złoczyńców zaś spotkał zasłużony, smutny koniec, poszli na dno ze swoim statkiem.

Ale nie sama intryga jest tu zabawna. Już introdukcja daje obraz stanu ducha autora i, co bardzo ciekawe, stanowi ogromną zagadkę dla wszelkich „holmesologów”. Watson pisze, że przegląda swoje kroniki i zapiski w poszukiwaniu sprawy godnej kolejnej opowieści. Wiele jest takich, w których przyjaciel poległ!), wiele nieciekawych i nudnych. Są też i takie, o których z tych czy innych względów pisać jeszcze nie można. Wśród nich: *“adventure of the Paradol Chamber, of the Amateur Mendicant Society, who held a luxurious club in the lower vault of a furniture warehouse...”*. *Paradol Chamber* jest orzechem niezgryzionym przez nikogo, ponieważ to wyrażenie nic nie znaczy – napisano nawet kilka esejów i sztuk teatral-

nych o tej „sprawie”. Na moje potrzeby tłumaczę to sobie jako sprawę “pogrzebanego psa”. Druga sprawa w wolnym tłumaczeniu: „przygoda Klubu Amatorów Żebractwa, który miał luksusową siedzibę w podziemiach magazynu meblowego”. Nie muszę chyba dodawać, że spraw tych Conan Doyle nigdy nie opisał ani nawet nie zamierzał.

Istotną rolę w tym opowiadaniu odgrywa pogoda. „Wichura miała wyjątkową moc. Wiatr wył cały dzień, a deszcz bił o szyby tak wściekle, że nawet tutaj, w sercu zbudowanego ludzką ręką Londynu, musieliśmy na chwilę zapomnieć o rutynie codziennego życia i uznać obecność żywiołów, które ryczą na ludzkość przez kraty jej cywilizacji, niczym rozszalała bestia w klatce. Wieczorem burza wzmagająca się bardziej i bardziej, a wichur łkał jak dziecko w kominie”. Nie „jak dziecko”, dokładnie „jak dziecko w kominie”. Cały w tym smak. Wówczas kwitł proceder wykorzystywania małych dzieci do czyszczenia kominów. Taki czas.

Katarzyna GWINCIŃSKA

Ukryte pragnienia

Kino niewidzialne, czyli Notatki o filmach...

mało znanych, zapomnianych, trudno dostępnych, egzotycznych, nietuzinkowych, a przede wszystkim o filmach wartych obejrzenia

Znów przyszło lato. Dni zrobiły się długie i leniwe. Z pewnością nie tak leniwe, jak kiedyś, gdy etap wakacji był jakimś zatrzymaniem w czasie, odcięciem od normalności i symbolicznym przejściem od jednego okresu życia do drugiego, dyktowanym szkolnym harmonogramem. A jednak wciąż, gdy słupki termometrów przesuwają się w górę pozwalam sobie na odrobinę więcej lenistwa. Nawet pomimo natłoku obowiązków, dni wydają się rozciągać jak guma, noce są duszne i parne, więc nie sposób usnąć ciężkim snem. Właśnie w takie dni a przede wszystkim wieczory, mam ochotę włączyć film „Ukryte pragnienia”.

Głównym powodem, dla którego film ten chce się oglądać po raz kolejny i kolejny, jest fakt, że Bertolucci stworzył film skupiony na nostalgii, co więcej: wzbudzający nostalgię w każdym widzu z osobna. Założenie to wydaje się banalnie proste, a nawet tandetnie sentymentalne, ale jeśli dłużej się nad nim zastanowić, odsłoni przed nami całe spektrum emocji, zapachów, smaków, dźwięków, wspomnień. A przecież dobrze czasem wrócić do tego, co było, skonfrontować się ze swoimi dawnymi postawami i spostrzeżeniami, zobaczyć, jak wiele jest w nas jeszcze z dawnych nas. W Ukrytych pragnieniach przeszłość cały czas daje o sobie znać, przenika do teraźniejszości, jest nieodłącznym składnikiem bieżących zdarzeń. Dziewiętnastoletnia Lucy przyjeżdża do idyllicznej Toskanii odwiedzić przyjaciół zmarłej matki – poetki i dowiedzieć się prawdy o swoim biologicznym ojcu. Młoda Amerykanka wywraca do góry nogami życie skupionej we Włoszech bohemy w wieku średnim.

Lucy przyjeżdża do małej miejscowości koło Sieny z kilku powodów i każdy z nich jest na swój spo-

sób sentymentalny. Nastolatka stąpa ścieżkami matki i poznaje tych samych ludzi – tylko że już o dobre dwie dekady starszych. Przedziera się przez poszarzałe zdjęcia i zacierające się już słowa, by poradzić sobie z tęsknotą i stratą, której jeszcze nie przepracowała, ale i lepiej zrozumieć matkę, która do tej pory w jakiś sposób jej umykała. Lucy podążając śladami matki, stara się też odkryć własną tożsamość. A do zdefiniowania siebie potrzebna jest jej wiedza o ojcu. Musi znaleźć więc rozwiązanie zagadki z przeszłości i „przeegzaminować” potencjalnych podejrzanych o ojcostwo. Ma też bardzo osobisty powód, by wrócić na północ Włoch. To tu poznała swoją pierwszą miłość – chłopaka o imieniu Niccolo.

Bohaterka grana przez Liv Tyler ucieleśnia młodość, więc przybycie dziewczyny do tokańskiej willi odsyła większość postaci prosto do ich własnych wspomnień. W końcu Lucy jest tak podobna do matki i tak różna zarazem, że dawni przyjaciele Sary automatycznie przypominają sobie chwile spędzone z nieżyjącą już poetką. Patrząc na świętą, stawiającą dopiero pierwsze dorosłe kroki Amerykankę, przenoszą się w czasie do momentu, gdy sami mieli nie więcej niż dwadzieścia kilka lat. Wspominają też dawny, sielski świat, którego kres zwiastuje budowa wieży telewizyjnej. Konfrontując się z młodością, konfrontują się również ze śmiercią i przemijaniem.

Ukryte pragnienia działają trochę jak pamięć zapachowa, która nigdy się nie starzeje i zawsze odsyła nas bezpośrednio do zagrzebanych gdzieś głęboko emocji. Gdy nieoczekiwanie czujemy zapach malin, porzeczek czy jakiegokolwiek innego, kojarzący się z dzieciństwem, automatycznie się uśmiechamy, nasza podświadomość wyrzuca na



Scena z filmu. Jeremy Irons i Liv Tyler

wierzch zapamiętane obrazy. Gdy oglądamy *Ukryte pragnienia*, nasza podświadomość również daje o sobie znać i w mniej lub bardziej bezpośredni sposób przypomina o pierwszych pocałunkach i pierwszym namiętnym dotyku, o burzy podkręcanych hormonami uczuć, o letnich podróżach, starych przyjaźniach, ważnych rozmowach – po prostu o wszystkim tym, co związane z ulotnym, trochę magicznym, bolesnym, podniecającym i szalenie intensywnym okresem sчыłku dzieciństwa i początku dorosłości.

Myślę, jednak, że dziś *Ukryte pragnienia* ogląda się inaczej. Emocje, które tak plastycznie odmalowuje Bertolucci są wciąż aktualne, ale przedstawiony przez niego świat, wydaje się być zanurzony w innej epoce. Lata 90. jawią się jako ostatni przystanek przed czasem absolutnej dominacji technologii i komercji. Z dzisiejszej perspektywy to dekada na swój sposób równie niewinna, co przyjeżdżająca do Toskanii Lucy. Upływ czasu rzucił jednak na nie nowe, cieplejsze światło. Cóż, tak właśnie działa czas i znów wracamy do punktu wyjścia, czyli słodko-gorzkiej nostalgii. *Ukryte pragnienia* są nią przesiąknięte. To film, który niezależnie od upływu lat pozostaje uniwersalny w swej warstwie wierzchniej odno-

szącej się do ludzkich pragnień, słabości i popędów, a ewoluuje w warstwie głębszej, celowo użyję słowa: ukrytej, obrastając z każdym rokiem w nowe znaczenia, ale i skojarzenia każdego z widzów. I w tym chyba przede wszystkim tkwi sekret tego sensualnego, odrobinę bajkowego obrazu.

Polecam!

PS. *Ukryte pragnienia* to nie tylko zapętlona nostalgia, to film pełen wysmakowanych kadrów (dzieło Dariusza Khondji'ego), które umiejętnie pokazują archetypiczne piękno pejzażu środkowej Toskanii (Siena), piękno ilustrowane przez równie ciekawą oprawę dźwiękową.

Joanna CHMIELEWSKA

Ukryte pragnienia

reżyseria: Bernardo Bertolucci
scenariusz: Bernardo Bertolucci, Susan Minot
produkcja: Francja, Wielka Brytania, Włochy
premiera: 29.03.1996 (świat), 12.09.1996 (Polska)
obsada: Liv Tyler, Joseph Fiennes, Jeremy Irons, Sinead Cusack, Rachel Weisz

NASZTALENT

Paweł Wolniewicz



Rocznik 1998.
Zodiakalny Rak.
Tegorocznymaturzysta – absolwent śremskiego LO.

Nie spotkałam dotąd młodego człowieka, dla którego słowa Ojczyzna, Obowiązek, Honor, Służba, Odpowiedzialność miałyby takie duże znaczenie. Dla Pawła mają. Być może właśnie dlatego będzie zdawał do Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Lądowych we Wrocławiu. Żołnierzem chciał być od zawsze – wprawdzie chciał być lotnikiem, ale... jest o 2 cm za wysoki, więc wybrał wojska lądowe. Interesuje się historią – okresem I i II wojny światowej – dużo czyta, kolekcjonuje pamiątki z tych czasów. W swojej niewielkiej jeszcze kolekcji posiada guziki, monety, łuski, dwa niemieckie hełmy otrzymane od cioci i niemiecki bagnet – prezent od dziadka. Własnoręcznie, opierając się na źródłach, szyje mundury wojskowe – historyczne i współczesne. Umiejętność szycia zawdzięcza babci Halinie. W „ułance” uszytej na wzór mundur z lat 20. poszedł na Bal Gimnazjalny (tematyka lata 20.). Ubrany w mundur często uczestniczy w różnych uroczystościach o charakterze patriotycznym. Kolekcjonuje książki o tematyce wojskowej i wojennej. Pasjonuje się historią Powstania Wielkopolskiego. Dwukrotnie zajął trzecie miejsce w VIII i IX edycji Wojewódzkiego Konkursu o Powstaniu Wielkopolskim. To sporo jak na tak młodego człowieka, ale to i tak tylko część zainteresowań Pawła. Jest harcerzem-instruktorem w 6. Drużynie Wędrowniczej „Leśne Skrzaty” w Śreмі i służbę tę traktuje bardzo poważnie. Wśród harcerzy ma przyjaciół, lubi spędzać tam wolny czas, którego zbyt wiele i tak nie ma. Interesuje się przyrodą – zwłaszcza ptakami – podgląda je, fotografuje, kolekcjonuje pióra. Uczy się je rozróżniać. Brał również udział (i to sukcesami) w konkursach przyrodniczych – zajął nawet I miejsce w Konkursie Przyrodniczym dla uczniów Szkół Ponadgimnazjalnych – Płazy i Gady Polski.

W tym roku znalazł się wśród 10 osób nominowanych do Nagrody im. Macieja Frankiewicza. To już piąta edycja tej nagrody, ustanowionej dla upamiętnienia postaci Macieja Frankiewicza – wiceprezydenta Poznania, który wielokrotnie udowadniał, że niemożliwe jest możliwe, że warto mieć marzenia i że warto je realizować. Wprawdzie nie został laureatem, ale już sama nominacja do tej nagrody jest sukcesem.

Paweł we własnoręcznie uszytej „ufance”.
Fot. z archiwum Pawła Wolniewicza



JESTEM... młodym człowiekiem z głową pełną pomysłów i marzeń.

CHCIAŁBYM... służyć ojczyźnie, podróżować, lepiej pełnić służbę instruktorską w ZHP i dalej realizować swoje pasje. Chciałbym także wstąpić do grupy rekonstrukcyjnej i powiększyć swoją kolekcję militarną.

MYŚLĘ O... przeżyciu ciekawych wakacji i wstąpieniu w szeregi armii.

INSPIRUJE MNIE... ciężko powiedzieć, najbardziej inspirują mnie różni ludzie.

POTRAFIĘ... szyc, gotować, orientować się w terenie, odnaleźć piękno i dzikość w przyrodzie.

LUBIĘ... poznawać nowych ludzi, podziwiać dzikość przyrody, ale przede wszystkim uwielbiam spędzać czas z moją drużyną harcerską na wspólnych zbiórkach, grach i wyjazdach. Harcerze to wspaniali ludzie.

MUSZĘ... wymagać od siebie (choć jest to bardzo ciężkie i dopiero się tego uczę).

ŻAŁUJĘ... że tak późno zdecydowałem, co chcę robić w przyszłości.

BOJĘ SIĘ... trochę tego, co przyniesie przyszłość, wyników rekrutacji na studia...

Ewa NOWAK

KWESTIONARIUSZ KULTURY



nys. U. Lukomska

Leszek Mańkowski

Rodowity śremianin. Rocznic 1955. Zodiakalna Waga. Absolwent Szkoły Podstawowej nr 2 i śremskiego LO. Mgr biologii – UAM. Emerytowany nauczyciel i długoletni dyrektor śremskich szkół. Społecznik. Inicjator i animator wielu wydarzeń kulturalnych.

Autor projektów muzycznych i organizator licznych koncertów śremskich wokalistów i instrumentalistów. Twórca filmów i przedstawień teatralnych. Laureat międzynarodowego festiwalu w Niepokalanowie w kategorii filmów amatorskich. Pomysłodawca i realizator corocznego Międzyszkolnego Konkursu „Król Czynu” upamiętniającego ks. Piotra Wawrzyniaka.

1
Kim jestem...

Emerytem (z łac.: zasłużony).

2
**Co jest najważniejszym osiągnięciem
mojego życia...**

Możliwość spokojnego spojrzenia w lustro.

3
W czym jestem dobry...

W odkładaniu spraw „na jutro”.

4
Co jeszcze chcę osiągnąć...

Spokój i pogodę ducha.

5
Co chcę w sobie zmienić...

Dodać szczyptę empatii.

6
Co daje mi szczęście...

Poczucie, że zrobiłem tyle, ile w danej sprawie mogłem zrobić.

7
Najważniejszy dzień w moim życiu...

Zawsze ten, który jest. Ale jeśli wybrać coś „historycznego”, to: 17 czerwca 1978r. i 1 stycznia 2010r.

8
U przyjaciół najbardziej cenię...

Wyrozumiałość dla moich błędów.

9
Bohaterstwo to dla mnie...

Nie dezerterować, gdy jest powinność, od której nie można się uchylić.

10

Epoka, w której chciałbym żyć...

Dwa lata temu powiedziałbym, że dobrze mi tu i teraz. Obecnie mam wątpliwości...

11

Największym nieszczęściem byłoby dla mnie...

Ponoć nieszczęścia chodzą parami, więc powtórzę za W. Młynarskim: „To największe mnie nie spotka, bo ono nie ma pary”.

12

Najcenniejsza rzecz jaką posiadam...

Ania! (żona, więc – nie rzeczy i nie moja własność...)

13

Moja największa wada...

Oj tam... że trochę niedoskonałości, to od razu wady?

14

Główna cecha charakteru...

Mówią, że upór.

15

Moje motto życiowe...

Errare humanum est, in errore perservare stultum.

16

Ulubiony dźwięk...

Muzyka – zawsze jest we mnie!

17

Dźwięk, który mnie denerwuje...

Fortissimo wiertarki sąsiada.

18

Nie mógłbym żyć bez...

Tlenu, wody i powszedniego chleba. Reszta nie jest niezbędna.

19

Co wzbudza we mnie lęk...

Religijny fanatyzm, polityczny dogmatyzm, nacjonalizm, ksenofobia, nietolerancja i inne przejawy ludzkiej głupoty.

20

Moje ukryte marzenie...

Chcę umieć „wtedy” powiedzieć jak L. Cohen:

„I’am ready, My Lord”.

Odkryłem jedno. W schowku coś pozostaje...

21

Dar natury, który chciałbym posiadać...

Nie wykorzystuję w pełni tego, co otrzymałem. Nie chcę kolejnego „kłopotu”.

22

Zawsze śmiesz mnie...

Nie ma czegoś, co „zawsze”. Odkryłem, że się zmieniam.

23

Słowo, którego nadużywam...

Tak, ale...

24

Zdanie o mnie, które zapamiętałem...

Dawno temu – o mnie i do mnie: „Nie wygląda pan na dyrektora”.

25

Myśl, która pojawia się gdy nie jest najlepiej...

Kiedy Bóg drzwi zamyka, to otwiera okno. (J. Twardowski)

26

Osobie bliskiej nigdy nie wybaczę...

Zawsze wybaczam, chociaż czasem z opóźnieniem.

27

Wolność to dla mnie...

Stan umysłu. Dar i zadanie.

28

Kim chciałbym być gdybym nie był tym kim jestem...

Gdybym nie był... to chciałbym być tym, kim jestem.

29

Obecny stan mojego umysłu...

„Na rozstaju dróg”.

30

Kim chcę zostać w pamięci innych...

Chcieć to sobie mogę.

W skorupce orzecha

Z górnej półki

Tak się złożyło, że wkrótce po omawianej w tej rubryce powieści „W imię dziecka” Iwana McEwana, na naszym rynku wydawniczym pojawiła się kolejna, nowa książka brytyjskiego mistrza pióra, „W skorupce orzecha”. Trudno, co zrobić, nie mam wyjścia – muszę o niej opowiedzieć, wszak McEwan to mój ulubiony pisarz, nie mogę pominąć milczeniem jego kolejnej książki, nawet jeśli się trochę powtarzam. Tym bardziej, że ze względu na perspektywę, z której toczy się narracja, jest to pozycja wyjątkowa. Poprzez powrót do fantastyki nawiązuje ona do początków pisarskich McEwana, („Betonowy ogród”), odbiegając tym samym od realizmu jego ostatnich książek. Już widzę Wasze miny miłośnicy powieści! Wszystko tylko nie fantastyka...no może z wyjątkiem Harry’ego Pottera, prawda? Jednak bez obaw, jak każda dobra powieść fantastyczna i ta jest, oczywiście, metaforą jak najbardziej rzeczywistego, współczesnego świata. Zapewniam solennie – świetna, elegancka proza McEwana na pewno Czytelniczki/Czytelnika nie rozczaruje.

Narratorem jest tu embrion, czyli, jak to powiedzielibyśmy dzisiaj w Polsce, dziecko nienarodzone. Jednak jest to czysto literacka konstrukcja. W rzeczywistości dziecko Trudy jest bowiem człowiekiem skończonym, filozofem, „nowym wcieleniem Hamleta”, który, owszem, czasami zastanawia się nad dylematem być albo nie być, ale jako człowiek swojej epoki, wybiera, oczywiście „być”. Być za wszelką cenę, z wszystkimi tego konsekwencjami.

Syn Trudy, tak jak i jego matka, jest miłośnikiem audycji radiowych w BBC: popularnonaukowych, politycznych czy literackich. Dzięki temu w dziewięć miesięcy zdobył wszechstronną wiedzę

(swoją drogą, niezła reklama BBC i staromodnego sposobu zdobywania wiedzy!), która pozwala mu zrozumieć świat toczący się poza ...no, powiedzmy poza brzuchem matki. Z uwagą śledzi też konwersacje Trudy z jej mężem John’em (ojcem dziecka) oraz Caude’em, kochankiem. Dzięki temu, a także dzięki wrodzonej inteligencji, nasz embrion odkrywa morderczy spisek.

Żyjemy w czasach, kiedy „mieć” wyparło „być”, rozumiane jako w pełni świadoma egzystencja, w której wartości moralne wypierają materialne. Poświęcenie – ideom, ludzkości, prawdzie – zostało zastąpione przez wszechobecny egoizm. Indywiduum i jego „ja” znalazło się w centrum naszego uniwersum, a konsumpcja – dóbr doczesnych, emocji, a nawet sztuki - jest zjawiskiem powszechnie akceptowanym. Najważniejsze, by żyć tak, by jednostce i jej bliskim, którzy są przedłużeniem jej ego, wiodło się jak najlepiej. Zaś po nas, choćby potop.

Trudy i Claude, protagoniści „W skorupce orzecha” tańczą swój egotyczny dance macabre, suto zakrapiany najlepszym francuskim sancerrem, nie oglądając się na nic i na nikogo, bez wyrzutów sumienia, bez większych wątpliwości, a jedynym świadkiem ich cynizmu i okrucieństwa jest nienarodzone dziecko, nasz narrator. Swoją drogą, ono samo skażone już cynizmem matki w gruncie rzeczy walczy wyłącznie o przetrwanie.

Brzmi to wszystko enigmatycznie, ale trudno jest opowiedzieć tę historię nie ujawniając faktów, które – do czasu - muszą pozostać dla czytelnika tajemnicą.

Mamy tu po raz kolejny literaturę z górnej półki z

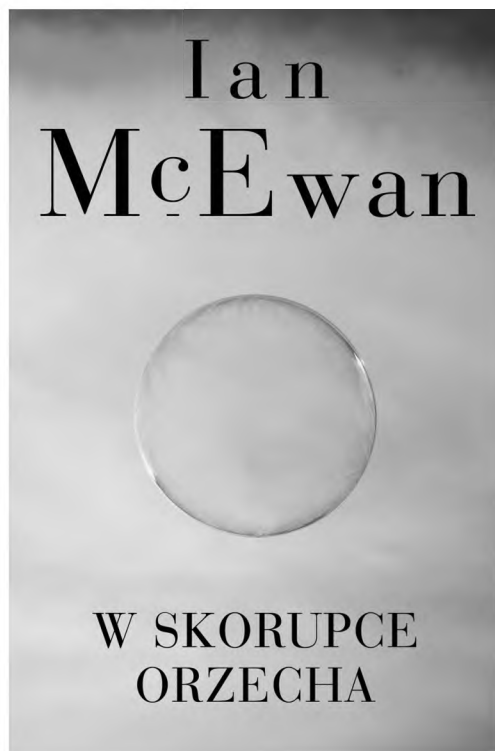
modnym wątkiem kryminalnym. I jak zwykle jest on tylko pretekstem do omawiania natury ludzkiej oraz problemów Wielkiej Brytanii, z Europą i resztą świata w tle.

Ta tragiczna w sumie historia jest napisana lekkim piórem intelektualisty, dowcipnie i ironicznie, a przy tym niesłychanie przykuwa uwagę – napięcie zdecydowanie rośnie w miarę czytania. Mimo lekkiej formy, a może nawet właśnie dzięki niej, dramat wyborów dokonywanych przez głównych bohaterów staje się rzeczywiście szekspirowski.

Z okazji wydania książki Iwan McEwan udzielił Newsweekowi wywiadu. Pisarz jest w świetnej formie. Z humorem i ironią opowiada o sobie, życiu, polityce i oczywiście o literaturze, w tym także o ostatniej, omawianej tutaj powieści. Jak twierdzi, nawiązanie do Szekspira, okraszane cytatem z „Hamleta”, będącym motto utworu, jest najzupełniej świadome – odczytał ponownie utwór i uważa go za pierwszy dramat czasów nowoczesnych, właśnie z uwagi na autotematyzm bohatera.

We wspomnianej rozmowie Iwan McEwan zapytany o krążące od jakiegoś czasu przerażające plotki o „śmierci powieści” odpowiedział: powieść „...jest najdoskonalszym narzędziem przyglądania się istotom ludzkim. Dociera tam, gdzie nauka nie potrafi dotrzeć. Gdzie religia nie jest wiarygodna, a filozofia – ze względu na swój język – odstrasza. Dlatego powieść nigdy nie umrze.” No i wszystko jasne. Powieściożercy mogą spać spokojnie.

J.A.



„W skorupce orzecha”, Ian McEwan, wyd. Albatros

Recepta na człowieka

Okiem belfra

Podsumowując kolejny rok szkolny, zastanawiam się, czy był udany. Czy mogę uznać go za sukces? Który jego wymiar powinien budzić moje samozadowolenie, a który wymaga poprawy? Moje refleksje dryfują w obszary wychowawcze. Przecież szkoła nie tylko uczy, ale i wychowuje. Efektem końcowym procesu kształcenia nie jest zbiór danych, lecz człowiek – jego umysł, ciało, charakter... Jaki jest człowiek kończący szkołę? Czy przygotowujemy go do samodzielnego życia? Czy wyposażamy w umiejętności do odegrania życiowej roli?

Współczesna szkoła musi stworzyć uczniowi warunki wszechstronnego rozwoju. Nauczyciel powinien wskazać mu możliwości wyboru. Ten młody człowiek stanie przed koniecznością wielokrotnej zmiany zawodu, miejsca zamieszkania, sposobu pracy. Czy zatem w jego życiu pozostanie coś stałego? Coś, do czego będzie mógł się odnieść? Wydaje się, że taką stałą wartością są zasady i normy moralne. To właśnie umiejętność odróżniania dobra od zła, empatia i solidarność stają się wartościami ponadczasowymi. I choć świat się zmienia, te pojęcia wciąż stanowią fundament, na którym wyrasta istota zasługująca na dumne miano: człowiek.

Jak stworzyć człowieka? Pokazać mu, że w życiu nie zawsze trzeba mieć, ale zawsze trzeba być. Mówić o tym, że pamięć i historia to wiano przekazywane kolejnym pokoleniom. Udowadniać, że człowiek musi umieć nie tylko mówić, ale przede wszystkim słuchać. Przekonywać, że innych ludzi nie można zmierzyć i zważyć, by poznać ich wartość, lecz trzeba odkryć ich wnętrze. Powtarzać, że dobro powraca i każdy nasz uczynek, nawet najmniejszy, ma wielkie znaczenie. Czy to wszystko przyniesie efekt? Trzeba wierzyć w człowieka i ufać, że kolejne pokolenia naszych uczniów wy-

korzystają w swym życiu właśnie tę życiową wiedzę.

Czy szkoła powinna iść z duchem czasu i promować nowoczesny model człowieka: multikulturowego, wyzwolonego, odrzucającego tradycyjne role społeczne? A może jednak być ostoją tradycji i surowo jej bronić? Myślę, że warto zachować złoty środek. Pokażmy młodym ludziom, że można, pamiętając o tradycji, iść odważnie w przyszłość. Nie możemy przekonywać młodzieży, że tylko tradycyjny podział ról społecznych jest właściwy, ponieważ byłiby zagubieni we współczesnym świecie. Musimy jednak podkreślać wartości uniwersalne i pozytywne. Warto wykształcić w naszych uczennicach poczucie własnej wartości, pewność siebie, wiarę we własne możliwości, samodzielność i zaradność. Ale trzeba także pokazać im, że wyzwoloną feministką może być także matka i gospodyni domowa, o ile to będzie jej własny wybór. Warto przekonywać naszych uczniów, że mężczyzna może być dla kobiety partnerem, może z nią dzielić wszelkie obowiązki, a pomimo tego być bardzo męskim. Trzeba uświadamiać młodym mężczyznom, że ich role społeczne są bardzo odpowiedzialne, ale nie mogą nigdy zapomnieć o szacunku dla kobiet, które są drugim filarem społeczeństwa. Owa równowaga pozwoli budować świat, w którym każdy będzie mógł osiągnąć szczęście i satysfakcję. Czy nauczyciel ma dość wiedzy, umiejętności i odwagi, by przygotować młodych ludzi do samodzielnego życia? Powinien mieć. Do tego musi dodać wiarę w kolejne pokolenia uczniów, które zasiadają w szkolnych ławach i szacunek dla ich indywidualizmu i odrębności.

Katarzyna GRZEGORCZYK

Małe zbrodnie i $A+B=Rh$ - Jak to jest z tą miłością?

No cóż. Wszystko dobre co się dobrze kończy. Ale to się, niestety, wie dopiero na końcu właśnie. Na początku jest fascynacja, uczucie, które przewycięża wszystkie przeszkody i oczywiście ma trwać wiecznie. Na scenie dwoje młodych ludzi opowiada historię swojej miłości. Każde osobno, każde swoją wersję. Nie dialogują, to monologi skierowane do widzów.

Łukasz Pawłowski, autor sztuki $A+B=Rh$ - wystawionej na scenie kameralnej Teatru Miejskiego w Lesznie daje jej energię młodości, ale już zaprawionej goryczą. Sam tytuł zawiera pole do różnych interpretacji. A i B , to jakby dwie inne planety – ona i on – które zawsze będą osobne. Ale też dwie strony tej samej monety: nieodgadniona tajemnica miłości i miejsce na życie codzienne. Czy będzie harmonia, czy też drogi zaczną się rozchodzić? W przypadku naszych bohaterów najpierw życie jak puch, na miękkich poduchach, na luzie. Potem z wolna każde poddaje się nurtowi życia i własnych spraw. Starają się przewyciężać odległość i odmiennością zajęć – pracy u niej i studiów u niego. Ale staje się to coraz trudniejsze i nacechowane wzrastającym dramatyзмом.

Jak się to skończy? Nie wiadomo. Autor pozostawia widza z tym pytaniem nie dając wyraźnej odpowiedzi. Ale to Rh - w tytule wskazuje na genetyczne obciążenie mężczyzny i kobiety innością, niezgodnością. Zawsze jest jednak nadzieja. Za i przeciw jest tyle samo. Sztuka zawiera partię wokalną będącą jakby trawestacją hymnu o miłości pierwszego listu św. Pawła do Koryntian. To nadaje przyszłości tego związku rys niepokojący. Jakby już tych dwoje młodych ludzi albo nie wierzyło w swoje uczucie, albo też na odwrót: mają co do siebie taką pewność, że pozwalają sobieną tę żartobliwą przewrotność.

Młodzi aktorzy – Anka Mrozowska i Daniel Mo-

sior – swoją grą dają tym wszystkim pytaniom wyraz niezwykle intensywny. Stają się jednością z granymi postaciami. Ani przez chwilę nie widać rozchodzenia się tej jedności. A widz ma ich przecieć jakby na wyciągnięcie ręki i dostrzeże każdy dysonans. Godzinny spektakl składający się z monologów – z sugestywną, poduszkową scenografią i kostiumami zaznaczającymi różne etapy związku bohaterów sztuki – jest dzięki odtwórcom ról głęboko poruszający. Aż do utraty tchu w tej miłości „w biegu”.

Łukasz Pawłowski właśnie sztuką $A+B=Rh$ - wystartował do kariery dramatopisarskiej i od razu z sukcesem. Związany z Teatrem Polskim w Poznaniu zagrał wiele znaczących ról. Kiedy pisze i reżyseruje ma dobrze procentującą znajomość warsztatu aktorskiego i poszanowanie dla aktorów. A , wiadomo, bez tego nic nie może się w teatrze udać.

Łukasz Pawłowski, „ $A+B=Rh$ ”, Teatr Miejski w Lesznie, reżyseria Łukasz Pawłowski, scenografia i kostiumy Jola Łobacz, opracowanie muzyczne Adam Brzozowski, Anka Mrozowska, obsada: Ona – Anka Mrozowska, On – Daniel Mosior, premiera 25 marca 2017 r.

Sztuka Èrica-Emanuela Schmitta *Małe zbrodnie małżeńskie*, która miała premierę na scenie Teatru Miejskiego w Lesznie 27 maja br. też jest o miłości. Tylko cokolwiek dalej. Para subtelnych intelektualistów. Ona – malarka, on pisarz. Ale czy im się udało? Autor stawia swoich bohaterów – małżeństwo z piętnastoletnim stażem – w sytuacji szczególnej. Otóż Gilles po nieszczęśliwym wypadku stracił pamięć, a Lisa stara się mu pomóc. Tłumaczy, że jest jego żoną a on jej mężem, ona maluje on pisze książki. W ogóle, poza małymi wadami, są

małżeństwem niemal idealnym. Ale nasz bohater drąży dalej, a Lisa powoli ustępuje. Bardzo powoli. Zarówno w kwestii opisu codziennych zachowań, zasad nimi kierujących i wersji wypadku, któremu uległ Gilles. Widz zaczyna się orientować, że coś tu jest nie tak z tą amnezją. To niemożliwe, aby człowiek z zanikiem pamięci czy też w fazie powrotu tak logicznie dążył do celu – odkrycia prawdy o żonie, o swoim małżeństwie. I w finałowych scenach następuje pełna demistyfikacja. Wychodzi naga prawda o wypadku z przyczyną Lisy i tym najgorszym – życiu obok siebie. Dopiero wstrząs każe im poznać na nowo te 15 lat małżeństwa, wzajemnych relacji i pomyśleć czy mimo wszystko mogą iść dalej przez życie. Można pomyśleć, że to wszystko jest dość banalne, nawet, jeśli wziąć pod uwagę emocje, które doprowadzają do targnięcia się na życie partnera. Przecież to się zdarza nieustannie, pod każdą szerokością geograficzną. No, właśnie w tym rzecz, że temat to wciąż aktualny – te małe zbrodnie małżeńskie. I dlatego sztuka Érica-Emanuela Schmitta jest tak chętnie grywana. Ale akcja jest umieszczana w różnych dekoracjach. Nie zawsze

w domowym wnętrzu. W leszczyńskiej inscenizacji to stacja metra. Para małżonków „po przejściach” czeka. Rozpamiętuje, wspomina, odkrywa prawdę. Od ostatecznego bilansu zależy czy odjadą tym samym pociągiem – wspólnie dalej przez życie, czy też osobno. Ten zabieg reżyserski podkreślił, że życie we dwoje jest podróżą, w trakcie której wiele może się zdarzyć. Dodał też niewidoczne ale wyczuwalne tło społeczne – dwoje ludzi w tłumie z tymi samymi problemami. Jaki sami dla siebie stworzą świat, taka będzie ta ich podróż.

Éric-Emanuel Schmitt, pisarz i dramaturg francuski jest z wykształcenia filozofem. Często cytuje się jego obrazoburcze stwierdzenie, że: „Kiedy widzicie kobietę i mężczyznę w urzędzie stanu cywilnego, zastanówcie się, które z nich stanie się mordercą”. Bo jego zdaniem nic tak nie zabija jak miłość do drugiej osoby. I tu trzeba wspomnieć, że monologi i dialogi Małych zbrodni... wychodząc jakby z tego twierdzenia-tezy mają im zaprzeczyć albo potwierdzić. Znajduje to swoje odbicie w tekście napisanym z zacięciem filozoficznym właśnie i stąd dość trudnym. W leszczyńskim



Mistrz i jego muza – Jacek Malczewski i Maria Balowa

Jacek Malczewski jest jednym z najbardziej znanych artystów polskich. Twórca Błędnego koła, Zatrutych studni, Melancholii był legendą artystycznego Krakowa już za życia. Napisano o nim tak wiele biografii, artykułów o wystawach, cytowano wypowiedzi nacechowane ideami patrio-

tycznymi i narodowym mesjanizmem, doceniano wkład w nowatorstwo Młodej Polski, analizowano symbolikę obrazów z przesłaniem... Jego życiorys malarza, znanego profesora i rektora Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie można przeczytać w każdym podręczniku historii sztuki,



więc nie będą cytować faktów, ale o jego modelkach i miłościach wiemy stosunkowo niewiele. Był wielkim miłośnikiem pięknych kobiet, których wizerunki pojawiają się w dziesiątkach obrazów rodzajowych i symbolicznych, a także wspaniałych portretach. W młodości marzył, że jego udziałem będzie „miłość święta jakaś i niezemska”, ale po nieszczęsnym, zawiedzionym uczuciu do kuzynki, długo leczył rany. Pozowało mu wiele kolejnych dziewczyn, ale raczej nie był nimi poważnie zainteresowany. W końcu zadurzył się w pannie z solidnej mieszczańskiej rodziny, niezdolnej rozumieć jego artystyczne rozterki i problemy. Na obrazie *Portret narzeczonej* z 1886 roku widać ładną, uśmiechniętą blondynkę. To zresztą jedyny obraz, na którym Maria Gralewska robi wrażenie szczęśliwej kobiety. Małżeństwo nie było udane i jak mawiali przyjaciele, małżonków łączyło jedynie zamiłowanie do gry w wista. Artysta nie spełnił oczekiwań żony, która liczyła na udział w spotkaniach arystokracji, której wielu przedstawicieli portretował, i podróżowanie po świecie. Mimo intratnych zleceń pojawiały się karciane długi i malarz nieraz bywał „na garnuszkę” u teścia, zamożnego aptekarza. Mieli dwoje dzieci, dwa lata po ślubie urodziła się córka Julia, po kolejnych czterech syn Rafał, przyszedł malarz. Praktycznie żyli osobno, zachowali jednak towarzyskie pozory, często bywali razem na wernisazach. W 1905 r. Jacek namalował *Pierwiosnek – portret własny z żoną*, na którym widać, że małżonków właściwie nic nie łączy. Każde z nich patrzy w inną stronę, on chowa twarz za kołnierzem surduta, ona smutno ze spuszczoną głową spogląda na trzymany w ręku kwiat. Zaledwie kilka miesięcy wcześniej malarz namalował siebie z inną kobietą i włożył jej w dłonie własne serce. To miłość życia artysty i jego muza, Kinia Balowa. Związek owiany był skandalem, gdyż oboje nie byli wolni. Musieli utrzymywać pozory przyzwoitości, bo chociaż wszyscy w Krakowie i Lwowie rozpoznawali na obrazach modelkę, wokół ich romansu panowała zмова milczenia. Gdy się poznali, ta zamożna, piękna, inteligentna kobieta, będąca ozdobą salonów, miała zaledwie 21 lat, była córką barona Seweryna Brunickiego, żoną starosty Stanisława Bala z Hoczwi, bogatego ziemianina. Jacek był od niej dwa razy starszy i zarówno w listach do przyjaciół jak i osobistych notatkach nie ukrywał swojej nią fascynacji.

Po roku 1900 prawie wszystkie kobiece postacie – Ellenai, Eloie, Beatrycze, Salome, Eurydyka, Nike, Polonia a także rusałki, kusicielki, chimery i meduzy mają twarz i figurę Marii Bal zwanej Kinią. Była rasową pięknoscią, która zachowała urodę do późnych lat, byli nią oczarowani zarówno studenci ASP jak i mecenas sztuki. Hrabia Edward Raczyński adorował ją latami. Większość obrazów, do których pozowała Maria, zakupił do swojej kolekcji w Rogalinie.

Malczewski nazywał ją „Afrodytą swego życia”, mówił, że dzięki niej „wszedł w nowe kręgi światła”. Kochali się bardzo, otoczyła go czułością i zrozumieniem, zainteresowaniem i troską. Pisali do siebie o wszystkim co cieszy i boli. Miłośna korespondencja jest ponoć bardzo intymna, zachowała się setka listów Kinii do Jacka, ona jego listy niszczyła. Wiedziała, że ma do czynienia z artystą dużego formatu, był znanym malarzem, wykładowcą krakowskiej Akademii, autorem dzieł o patriotyczno-symbolicznej wymowie, był drugim po Matejce „wielkim mistrzem”. Wymarzyła sobie, że w swoim majątku Tuligłowach stworzy mu idealne miejsce do pracy. Jej mąż Stanisław, który także darzył ją uczuciem, zdawał sobie sprawę, że miłość Kinii i Jacka ma ogromny wpływ na sztukę Malczewskiego. Jednak ta „mystyczna komunia dusz” jak Balowa nazywała ich związek, zakończyła się definitywnie pod koniec 1913 r. Nie wiadomo, czy przyczyniła się do tego choroba weneryczna artysty, czy powód był inny. „O tym się nie mówiło” wspominał Józef Czapski, ale od tego momentu malarz „w smutku się kruszy”. Malczewski nie kwestionował decyzji ukochanej, ale czuł się odpowiedzialny za rozpad ich związku. W szkicownikach i wierszach opiewał, a potem oplakiwał romantyczną miłość do Marii Balowej. Na obrazach ukazywał pełną zmysłowości muzę, sprawczynię twórczych mocy. W 1918 r. namalował *Autoportret z Meduzą*, która wryza się w trzymane w dłoniach serce. Ma twarz Kinii. Zainteresowanych losami pięknych kobiet, związanych uczuciowo z artystami odsyłam do interesującej książki Małgorzaty Czyńskiej, historyka sztuki, krytyka dizajnu i kuratorki wystaw, pod tytułem *Najpiękniejsze kobiety z obrazów z serii Prawdziwe Historie*.

Urszula ŁUKOMSKA
malarka

Kierunek plener

Dziś brzmi to inaczej niż ponad 150 lat temu, gdy młodzi artyści wyjeżdżali na łono natury, by ją obserwować i uwiecznić. Za pierwszych, którzy opuszczali pracownie i udawali się w plener uważa się malarzy francuskich tzw. barbizończyków, malujących we wsi Barbizon blisko Paryża. Uciekając od zgiełku miasta, dążyli do realistycznego odtwarzania pejzażu i wręcz naturalistycznego przedstawiania życia prostych ludzi, w szczególności przy pracy. Mówi się o École de Barbizon, gdyż malarze utworzyli coś w rodzaju komuny artystycznej, funkcjonującej w latach 1830-1870, osiedlając się w tej wiosce i podobnie malując. Obrazy ich utrzymane są w lokalnym kolorycie, spokojna paleta barw i smug światła tworzą efekt migotliwego powietrza, ludzie i zwierzęta wydają się małym dodatkiem do realistycznego pejzażu. Na czele ruchu stał Théodore Rousseau, a w gronie tworzył też polski realista Józef Szermentowski. W tym zakresie stali się prekursorami impresjonistów, choć dopiero ci malowali bezpośrednio w pejzażu, rozstawiając sztalugi w polu, lesie, nad rzeką, nad morzem... Barbizończycy szkicowali z natury lecz kończyli prace w pracowni, impresjoniści dokonali przełomu.

Od tego czasu, w każdej uczelni artystycznej letni wyjazd w plener był wymogiem kończącym rok akademicki. Profesor wyznaczał zadania, robił korekty, wieczorami przeglądy wszystkich prac, by kolejny dzień zaczynać od poprawek, kontynuując ćwiczenie. Podczas moich studiów ta klasyczna forma była jeszcze realizowana, w programie edukacji były obowiązkowe plenery na dwóch pierwszych latach, z których ocena musiała pojawić się w indeksie by studiować na kolejnym roku. Tu użyłam po raz pierwszy określenia „plener” jako sytuacji a nie miejsca. W studenckim

slangu plener oznaczał pracę poza uczelnią. Mówiło się, jedziemy na plener a nie w plener, gdyż od lat sześćdziesiątych, gdy odchodziło się od natury narzeczniej interpretacji lub wręcz różnych odmian abstrakcji, praca „na świeżym powietrzu” wydawała się nieco anachroniczna. Na plenerze dostawało się temat i cała uwaga twórcy skupiała się na interesującym przedstawieniu i interpretacji. Kolor lokalny poszedł w zapomnienie, powstawały kompozycje o wyszukanych, wymieszanych skrupulatnie, zestawianych w gamie lub kontrastowo barwach i prawie obowiązkowo zastosowanej deformacji, która była środkiem wyrazu artystycznego. W kolejnych dekadach te akademickie zasady dalej się zmieniały, a każdy z wykładowców dążył do przekazywania własnych koncepcji.

Przez prawie 30 lat uczyłam rysunku i malarstwa w Liceum Plastycznym w Poznaniu i te problemy są mi dobrze znane, a już 22 lata pracuję z artystami nieprofesjonalnymi w Śremskim Ośrodku Kultury i włączam plener do niezbędnej formy edukacji artystycznej. W poprzedniej dekadzie spotykaliśmy się w Zaniemyślu, Solcu, Kocieniu, Dębogórze, Lubiatówku, ostatnio głównie w Rybitwach, Jaszkanie, Trąbinku i trzykrotnie w Sapowicach. Razem z grupą śremską malują członkinie poznańskiego Stowarzyszenia Inicjatyw Twórczych „Po godzinach”.

Mimo, iż w wielu miejscach było sympatycznie i zawsze udało mi się stworzyć atmosferę pracy, Sapowice stały się naszą Mekką. Malujemy w pałacu, należącym do Biblioteki Raczyńskich w Poznaniu, miejscu uroczym położonym nad jeziorem, gdzie sama fantastyczna sceneria wprost skłania do pracy. Stary park i neoklasykistyczny biały pałac

mogą być wyzwaniem dla pejzażysty, ale jak już wspominałam, dziś raczej uwiecznia się je w serii zdjęć, których ewentualne niedoskonałości poddaje się obróbce komputerowej. Sama lubię się tym bawić, szybkość efektu jest chyba domeną czasów. Oczywiście w tym miejscu muszę wspomnieć o przemyśłych gospodarzach obiektu, osobach kulturalnych, miłych, wyrozumiałych i pomocnych w każdym momencie. Pani Iza i pan Henryk zaglądają często do pracowni w pałacowym salonie, są naszymi pierwszymi wyrozumiałymi odbiorcami i krytykami. Salon też się zmienia, czasem przypomina monumentalne rzeźby Christo, taki opakowany folią, ale staramy się zawsze zabezpieczać miejsce pracy, by niczego nie pobrudzić... Zwłaszcza, że ostatnio pięknej drewnianej podłodze przywrócono historyczną urodę. Każdy plener kończy się wystawą prac w ŚOK-u lub innych miejscach np. w zaprzyjaźnionym Domu Kultury Orbita w Poznaniu, gdzie kilkakrotnie gościły prace śremskich twórców. Najczęściej każda z uczestniczek pleneru przywozi gotową koncepcję pracy, czasem tylko zarys pomysłu, który trzeba omówić i rozwinąć... Staram się nie

przeszkadzać, czasem proponuję inspirację znanym dziełem i za każdym razem przypominam sobie słynną maksymę Picassa: „Inspiracja istnieje, ale musi zastać cię przy pracy”... Co kilka lat, gdy uznam, że wybrane prace osiągnęły poziom profesjonalny organizuję wystawę w Muzeum Śremskim. Przejmuję rolę kuratora i staram się dokonać wyboru rysunków i obrazów, które odpowiednio zestawione tworzą interesującą dla widza całość. Poprzednia wystawa miała miejsce w 2013 r., kolejna w marcu bieżącego. Pokazywałam prace 15 artystek i swoje.

Uważam, że systematyczne poszukiwania i zmagania z nieosiągalnym są tak naprawdę satysfakcjonujące. Oczywiście ważny jest efekt końcowy, z którego jesteśmy raz bardziej, raz mniej zadowoleni, ale najważniejsza jest przyjemność procesu kreacji: nakładanie farb, przecierki, zmiana pędzli, operowanie szpachlą, stosowanie rozpuszczalników, werniksów, obserwowanie powstającej materii obrazu.

Urszula ŁUKOMSKA
malarka

Uczestnicy pleneru ze swoimi pracami. Fot. U. Brylewska-Łukomska



Commensurability, czyli o dialogu w wielu aspektach

W dniu 14 maja 2017 roku w Muzeum Śremskim odbyła się wystawa zatytułowana Commensurability, która była artystycznym spotkaniem ojca i córki, połączeniem dwóch kreacji artystycznych, a wszystko to aby upamiętnić ważną osobę w życiu obojga artystów – Mirę Musielak, mamę Matyldy. Wydarzenie, pomimo licznej publiczności, miało charakter bardzo intymny, osobisty. W krótkim wstępie artyści opowiedzieli o wspomnianej wcześniej genezie wystawy. Marzeniem Pani Miry (której dedykowano wystawę) było, aby twórczość ojca i córki miały możliwość spotkać się w miejscu, z którym cała trójka była związana zawodowo i emocjonalnie – śremskim Muzeum.

Znaczący jest w tym przypadku sam tytuł wystawy, który w tłumaczeniu dosłownym oznacza współmierność, proporcjonalność. To również koncept pochodzący z filozofii nauki, który jasno określa, że aby porównać dwie teorie oraz ocenić, która z nich jest bardziej użyteczna i cenna, należy dyskurs wokół tych teorii prowadzić używając nomenklatury umożliwiającej bezpośrednio porównanie. Najprościej rzecz ujmując – aby prowadzić dyskusję, należy mówić tym samym językiem. Tak rozumianą współmierność prezentują Matylda i Bogusław Lepiesza, których dialog prowadzony jest językiem sztuki.

Pomimo tego, że prace wyeksponowano w jednym pomieszczeniu, widzowi od razu jasno nakreślał się podział na role w tym artystycznym dialogu. Matylda Lepiesza rozmawiała z widzem za pomocą grafiki, natomiast Bogusław Lepiesza przemawiał przy pomocy malarstwa. Czerń i biel prowadziły dyskusję z kolorem. W skład wystawy wchodziło również wideo, na którym można było śledzić proces tworzenia przez artystkę rzeźby, upamiętniającej jej mamę.

Poruszając się po wystawie widz zaczynał od

zbioru rysunków będących ilustracjami do bajek dla dzieci. Widzowie mieli okazję obejrzeć pokąźny przekrój bohaterów, rysowanych swobodną, wibrującą wręcz kreską. Pomimo braku dosłowności i nieco abstrakcyjnej formie, każda z postaci miała wyraźnie wyczuwalny, indywidualny charakter i ładunek emocjonalny.

Dalsza część ekspozycji prezentowała kompozycję różnych grafik, których motywem przewodnim były dłonie, w każdej z prac stanowiące centrum kompozycji, jednak sądząc po ich wielkości – należały do różnych osób. Przywodzą na myśl czasy dzieciństwa, kiedy odbijanie dłoni na papierze stanowiło formę zabawy, ale też zapoznawania się ze sztuką, pierwotnymi i najprostszymi jej formami. To również część ciała, która w dużej mierze odpowiada za procesy poznawcze, podanie dłoni to często także pierwsza forma kontaktu, kiedy nawiązujemy nowe relacje z innymi ludźmi.

Kontrastem dla czarno-białej twórczości córki są pełne koloru obrazy ojca. Kontrastem a zarazem dialogiem, bo warto zauważyć, że w sztuce abstrakcyjnej, nieprzedstawiającej, także odnaleźć można coś pierwotnego, tak jak w dziecięcych zabawach ze sztuką, gdzie ważny jest sam proces i środki wyrazu oraz towarzyszące temu emocje, a niekoniecznie efekt końcowy.

Zbiór obrazów jakie zaprezentowano w muzealnym pawilonie, to płótna na których dostrzegamy liczne nasycone barwy, tworzące na obrazach plamy pozbawione szczegółów. To niefiguratywne malarstwo oparte na samych jedynie barwach i ich wzajemnym oddziaływaniu w prostych konotacjach prowadzi do jednego z odmian abstrakcyjnego ekspresjonizmu – Color field painting (Malarstwo barwnych płaszczyzn), którego najbardziej znanymi przedstawicielami byli Mark



Matylda Lepiesza i Bugusław Lepiesza podczas wernisażu. Fot. Grzegorz Pawlak

cyjnych prowadzi do jednego z odłamów abstrakcyjnego ekspresjonizmu – color field painting (malarstwo barwnych płaszczyzn), którego najbardziej znanymi przedstawicielami byli Mark Rothko, Clyfford Still i Barnett Newman. Z daleka jednolite płaszczyzny koloru w oglądzie z bliska, były serią przenikających się warstw kolorystycznych, nakładanych cierpliwie na siebie. W niektórych obrazach grubo nanoszona farba mieszała się, tworząc mięsiste, tężowe bryły, innym razem delikatne laserunki i przecierki pozwalały na odkrywanie kolejnych warstw kolorów i przechodzenie przez poszczególne etapy tworzenia.

Patrząc na wystawę Commensurability, byliśmy jako widzowie świadkami dialogu na wielu płaszczyznach: kolorystycznej, emocjonalnej, formalnej. Ta współmierność, dyskurs artystyczny, pomimo iż międzypokoleniowy i z pozoru bardzo

przeciwstawny, w piękny sposób pokazał, jak pomimo różnic za pomocą sztuki i wspólnej idei można łączyć. W dodatku z tak pięknych powodów jak pamięć o bliskiej osobie.

Marta MOŚKOWIAK

Bo kulturalnym dobrze być nawet w nocy!

Parafrazując słowa piosenki Jerzego Jurandota: zostać w domu w taką noc to grzech! A ta noc pełna była wrażeń i to różnej maści! Dzięki połączeniu sił Biblioteki Publicznej im. H. Święcickiego w Śremie i Muzeum Śremskiego, noc 3 czerwca była nocą wyjątkową.

Na Mickiewicza 89 pod hasłem „nie spać! zwiedzać!” można było zapoznać się z całym wachlarzem artystycznych doznań. Program kulturalnej nocy spinały klamrą dwa koncerty jazzowe. W międzyczasie do dyspozycji odwiedzających było całe Muzeum! Fakt ten jest o tyle ekscytujący, że w gmachu głównym nastąpiła niedawno wielka zmiana i właśnie w tą wyjątkową noc można się było załapać na przedpremierowe oglądanie ekspozycji poświęconej Jerzemu Jurdze! W salach przeznaczonych artyście można oglądać wytwarzane przez niego kusze, zapoznać się z tym jak wyglądał jego warsztat, w którym tworzył te cuda rzemiosła oraz przyjrzeć się charakterystycznym obrazom Jurgi. Ci, którzy pamiętają artystę z pewnością wzruszą się filmem, w którym z właściwą sobie swobodą i prostotą opowiada o własnej twórczości.

Premierową odśłonę miał też Salon Kolekcjonera, gdzie zebrano najcenniejsze historyczne pamiątki ze Śremu i okolic. Ekspozycje pochodzą w większości ze zbiorów najszlachetniejszego śremskiego kolekcjonera Feliksa Sałacińskiego. Lifting przeszła także ekspozycja Wideoklip do hymnu – najbardziej multimedialna i interaktywna wśród ekspozycji stałych.

Wróćmy jednak do atrakcji przygotowanych specjalnie na tą wyjątkową noc! W pawilonie można było podziwiać wystawę Piątka ze sztuki, gdzie

pokazano prace dwóch wspaniałych grafików: Jacka Wolnego i Grzegorza Marszałka, a także malarstwo doskonale znanej w naszym mieście malarki Urszuli Brylewskiej-Łukomskiej oraz Barbary Marszałek i Zofii Wolnej.

Tu na szczególną uwagę zasługuje twórczość Jacka Wolnego. Jego misterne grafiki, wykonane technikami trawienia metalowych płytek, swoją pieczołowitością wykonania i pewnym usystematyzowaniem przywodzą na myśl malarstwo Opalki, z tą różnicą, że tutaj zamiast cyfr mamy do czynienia z tekstem. Treści łączą się zawsze z przedstawieniem ryb lub innych morskich stworzeń, a przeplatające się ze sobą cieńsze i nieco grubsze linie tworzą skomplikowaną siatkę, w której odnajdujemy znajome kształty.

Prace Grzegorza Marszałka to z kolei grafiki z humorem, takie które z lekkością i dystansem puszczają oko do widza. Pojawia się w nich kolor, zupełnie inna forma, mniej skomplikowana, bardziej czytelna i dosłowna, co nie oznacza, że mniej interesująca.

Miłośnicy malarstwa mogli się z kolei skupić na pięknych martwych naturach Zofii Wolnej, zatoną w baśniowym i nasyconym kolorami świetle wykreowanym przez Urszulę Łukomską lub oddać się melancholii patrząc na pastelowe krajobrazy Barbary Marszałek.

Oprócz tego wszyscy uczestnicy wydarzenia mogli zapoznać się z technikami stosowanymi w grafice, a także posłuchać o cyklach w malarstwie.

Muzeum przygotowało również niezwykle niespodziankę dla miłośników polskiego plakatu!

Na muzealnych ścianach można było podziwiać dzieła takich artystów jak Franciszek Starowieyski (!), Andrzej Pągowski, Jan Lenica (!), Jan Młodziejewicz (!), Waldemar Świerzy (!), Jan Aleksy, Henryk Tomaszewski czy Eugeniusz Get-Stankiewicz. Innymi słowy polska szkoła plakatu w swoim najlepszym wydaniu! Kto nie widział niech biegnie zobaczyć, bo warto!

Ach, miło tak było posiedzieć na muzealnym dziedzińcu i w blasku księżyca rozmyślać o tym, co się zobaczyło! Oby więcej było takich nocy jak ta – ciepłych, pięknych, pełnych sztuki. To właśnie dzięki takim inicjatywom Muzeum przestaje nam się kojarzyć z filcowymi kapciami i zakurczonymi eksponatami, a staje się integralną częścią weekendowego rytmu miasta!

Marta MOŚKOWIAK

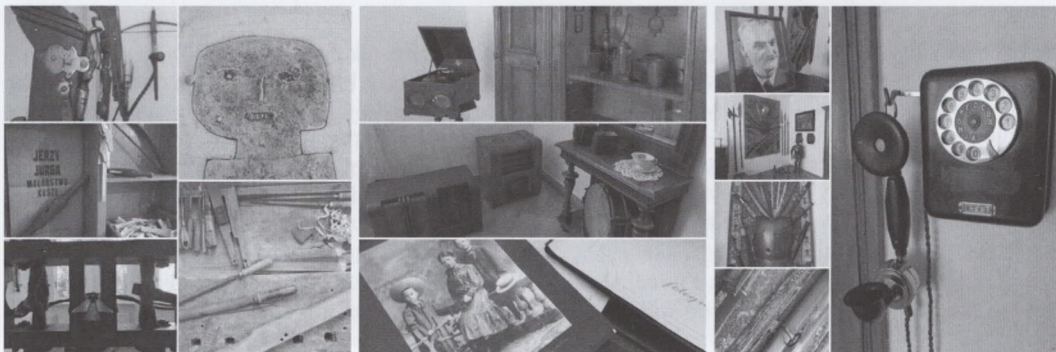
Noc w Muzeum. Koncert na dziedzińcu. Fot. Grzegorz Pawlak



MUZEUM
S R E M S K I E

63-100 Śrem
ul. A. Mickiewicza 89
tel/fax: 61 2835938
www.muzeum.srem.pl
e-mail: muzeum@srem.pl

Na wystawy stałe w okresie wakacyjnym zapraszamy od poniedziałku do piątku w godz. 8⁰⁰-15⁰⁰



JERZY JURGA
KUSZE – OBRAZY – WARSZTAT

FOTOATELIER

SALON KOLEKCJONERA
FELIKSA SAŁACIŃSKIEGO

MUZEUM
A CO TO TAKIEGO

Zapraszamy do udziału w zajęciach, podczas których omawiamy historię, zbiory i działalność Muzeum Śremskiego oraz przedstawiamy sposoby gromadzenia, przechowywania, opracowywania i udostępniania zbiorów.

terminy: 3, 10, 17, 24 sierpnia
godziny: 10.00 - 12.00
koszt - 5 zł od osoby

MUZEUM
S R E M S K I E

SZNEKA

SPOTKANIA
Z REGIONEM I GWARĄ
„Dbając o korzenie wyrośniemy wyżej”

Spotkania prowadzi Ewa Nowak,
autorka „Małego Słowniczka Śremskiej Gwary”

terminy: 6, 13, 20, 27 lipca
godziny: 10.00 - 12.00
koszt - 5 zł od osoby

MUZEUM
S R E M S K I E

Śremski ośrodek kultury

63-100 Śrem
ul. A. Mickiewicza 77
tel: 61 2835904, fax: 61 2810081
www.sok-srem.pl
e-mail: biuro@sok-srem.pl

LATO NA PLAŻY KONCERTY PLENEROWE

scena na plaży miejskiej
godz. 20:00

7.07 GDAŃSKA FORMACJA
SZANTOWA
21.07 CISZA JAK TA
04.08 ROBERT KASPRZYCKI
18.08 U STUDNI

Wstęp wolny!

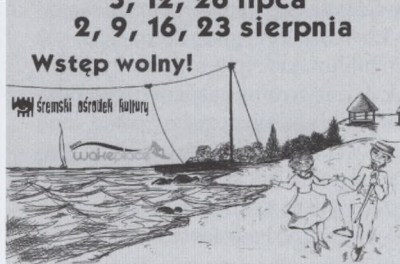


LATO NA PLAŻY SENIORSKIE ŚRODY

bar na plaży miejskiej
godz. 17:00

- zabawa przy muzyce
 - konkursy
 - prowadzi: **DJ ZEFIR**
- 28 czerwca
5, 12, 26 lipca
2, 9, 16, 23 sierpnia

Wstęp wolny!



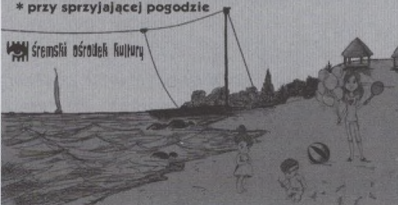
LATO NA PLAŻY ANIMACJE

plaża miejska
codziennie w godz.: 16:30 - 18:00*
od 25 czerwca do 31 sierpnia

- zabawy dla dzieci
- konkursy
- prowadzi: **PIOTR WITON**
oraz instruktorzy
Śremskiego Ośrodka Kultury

Udział bezpłatny!

* przy sprzyjającej pogodzie



LATO NA PLAŻY KINO PLENEROWE

plaża miejska
czerwiec, lipiec - godz. 22:00
sierpień - godz. 21:30

- 30.06 WKRĘCENI 2
14.07 SŁABA PŁEĆ?
28.07 7 RZECZY, KTÓRYCH
NIE WIECIE O FACETACH
11.08 KOCHAJ

Wstęp wolny!



Łowcy przygód w Bibliotece

Czytanie może być najwspanialszą przygodą, a biblioteka miejscem bardziej tajemniczym i fascynującym niż wirtualny świat gier komputerowych.

Chris Grabenstein
Biblioteka pana Lemoncella

Od dwóch lat oddział dla młodzieży Biblioteki Publicznej w Śremie organizuje spotkania pod nazwą **Klub Łowców Przygód**. Co miesiąc zapraszane są do biblioteki wyjątkowe osoby, które dzielą się z młodzieżą swoimi pasjami i przygodami, które w rozmaity sposób poznają Polskę, inne kraje, kontynenty i kultury. Podczas spotkań promujemy literaturę podróżniczą i przygodową oraz przewodniki turystyczne, zachęcamy młodzież do nauki języków obcych i do poznawania świata.

KALENDARIUM SPOTKAŃ Z GOŚCIAMI KLUBU ŁOWCÓW PRZYGÓD

9.10.2015 r.

Inauguracyjne spotkanie Klubu Łowców Przygód. Gościem był Krzysztof Petek – pisarz i podróżnik, autor powieści sensacyjno-przygodowych, reportażysta, organizator wypraw i szkół przetrwania.

4.11.2015 r.

Emil Witt – jeden z najmłodszych podróżników eksploratorów świata. W roku 2013, jako osiemnastolatek, samotnie poleciał do Brazylii i spędził dwa miesiące w dżungli, docierając do zapomnianych plemion Yanomami.

9.12.2015 r.

Łukasz Wierzbicki – redaktor, podróżnik, autor książek dla dzieci i młodzieży (*Rowerem i pieszo*

przez Czarny Łąd, Afryka Kazika, Dziadek i niedźwiadek. Historia prawdziwa – o losach niedźwiedzia Wojtka z Armii Andersa) i innych.

15.02.2016 r.

Janusz Kopycki i Sebastian Walkowiak – spotkanie z pasjonatami nurkowania. Goście opowiadali młodzieży o swojej przygodzie z nurkowaniem i zaprezentowali sprzęt do nurkowania.

4.03.2016 r.

Kolejne spotkanie z Łukaszem Wierzbickim I ty możesz..., czyli jak zostałem pisarzem. Autor w interesujący sposób przedstawił swój dotychczasowy dorobek pisarski oraz zaprezentował najnowszą książkę pt. *Drzewo*.

8.04.2016 r.

Martyna Haberland opowiadała o Finlandii. Martyna będąc studentką wyjechała na północ Europy, do Rovaniemi, korzystając z programu Erasmus. Prelegentka przedstawiła młodzieży gimnazjalnej kulturę, obyczaje i życie codzienne Finów.

10.05.2016 r.

Po raz drugi odwiedził nas Emil Witt, który opowiedział o swojej trzeciej wyprawie do Amazonii *Spirit of the selva vol. 2*. Nie zabrakło również relacji z pieszego trawersu andyjskiego oraz niezwykłych fotografii niewyobrażalnie bogatej fauny i flory dziewiczych lasów deszczowych.

22.06.2016 r.

Prelekcja Bartosza Klimczuka *Szwecja – królowa Skandynawii*. Interesujące zdjęcia, ciekawe informacje i spostrzeżenia dotyczące tego kraju i jego mieszkańców wzbogaciły wiedzę młodzieży o tym rejonie Europy.

20.09.2016 r.

„Podróż” z Zuzanną Genderką do Azji Centralnej. Piękne zdjęcia, ciekawe opowieści przybliżyły nam Kazachstan, Kirgistan i Tadżykistan.

28.09.2016 r.

Anna Haberland, studentka III roku archeologii UAM w Poznaniu opowiadała o swojej przygodzie z archeologią, pracy, wykopaliskach i znaleziskach.

18.10.2016 r.

Spotkanie z podróżnikiem Markiem Pindralem, który w bardzo barwny sposób opowiadał o swoich przygodach i doświadczeniu zdobytych podczas licznych podróży. Udzielał cennych porad, jak być podróżnikiem, nie turystą. Swoje opowieści zilustrował wspaniałą kolekcją zdjęć z wypraw do Afryki i Azji.

15.11.2016 r.

O Nowym Jorku, jego historii i współczesności opowiadał Richard Malicki, emerytowany profesor Finance and Economics Berkeley College, Wydział Finansów St. John University, Tobin College of Business City University of New York, Queens College. Wykład odbył się w języku angielskim.

12.01.2017 r.

Gościem Klubu był Szymon Góralczyk, który opowiadał o swoich podróżach do Meksyku, przygodach i fascynacjach meksykańską kulturą.

18.01.2017 r.

Krzysztof Szulczewski – przewodnik po Rzymie, numizmatyk. W interesujący sposób przybliżył starożytny Rzym, ilustrując swój wykład licznymi zdjęciami i wspaniałą kolekcją monet z tego okresu.

26.01.2017 r.

Gościliśmy młodych podróżników: Julię Mozgawę i Krzysztofa Czaplę, dla których Ameryka Południowa stała się domem na 13 miesięcy. Opowiedzieli o swoich przygodach i kolorycie życia codziennego, o bogactwie flory i fauny Brazylii i innych krajów.

14 i 21.02.2017 r.

Ponownie gościliśmy Richarda Malickiego, który

wygłosił po angielsku prelekcję o Nowym Jorku.

30.03.2017 r.

O historii niezwykłych wypraw opowiadał Łukasz Wierzbicki. Historie, które pisarz-podróżnik przywołał z zakamarków pamięci oparte były na prawdziwych wydarzeniach.

5.04.2017 r.

Bartosz Klimczuk wygłosił ciekawą prelekcję pt. *Kazachstan – kraj kontrastów*.

10.05.2017 r.

Ewa Urbanowicz podzieliła się swoimi wrażeniami z podróży na Kubę. Młodzież obejrzała zdjęcia z Hawany, Santa Clara, Waradero, Trinidadu.

13.06.2017 r.

Stefan Bartkowiak opowiedział młodzieży o swoich wyprawach na rowerze po Polsce. Zachęcał do uprawiania bezpiecznej turystyki rowerowej oraz wspominał o Klubie Morsów.

14.06.2017 r.

Ewa Urbanowicz drugi raz wygłosiła prelekcję pt. *Kuba – dwa światy*.

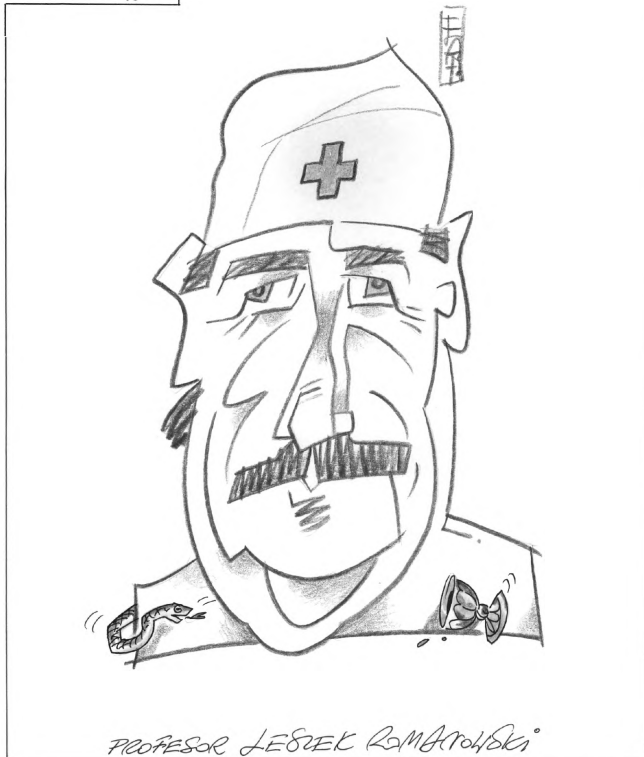
W **Klubie Łowców Przygód** odbyły się już 24 spotkania, a uczestniczyło w nich blisko 2000 uczniów ze starszych klas szkół podstawowych i gimnazjów. Od września znowu będziemy „podróżować”, poznawać nowe kraje i ludzi, a także czytać interesujące książki.

ZAPRASZAMY DO BIBLIOTEKI!

Ewa URBANOWICZ



SPRZĄTANIE
- WIE GŁĘBI
- SWIĘTO
- WIELKICH
- MAŁYCH



Profesor Leszek ROMANOWSKI

Gazeta Śremska

siedziba redakcji – Muzeum Śremskie
63-100 Śrem, ul. A. Mickiewicza 89
tel: 61 2835938, kom: 533 875 030
e-mail: gazeta@muzum.srem.pl, www.muzeum.srem.pl

Wydawca:

Muzeum Śremskie; 63-100 Śrem, ul. A. Mickiewicza 89
Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń
i reklam oraz zmiany programów i terminów
wprowadzone po oddaniu numeru do druku.

Redagują:

Mariusz KONDZIELA (redaktor naczelny)
Ewa NOWAK (redaktor prowadząca)
Katarzyna TOMCZAK (korekta)

Na okładce:

I –
IV –

Skład:

Samuel Bednarski

Druk:

DRUKARNIA TOMCZAK Ewa Osiewicz
tel. 61 2841208, www.drukarniasrem.pl

U ROMANIAKA

TAK
jest,
TAK
było,
TAK
się mówiło

Ciastkarnia i lodziarnia prowadzona przez państwa Romaniaków w małym domku narogu ul. Kościuszki i Ogrodowej



Foto: zbiory Muzeum Śremskiego



Foto: Piotr Pieczykolan, 2016 r.

